

JULJUSZ DĄBROWSKI
i TADEUSZ KWIATKOWSKI

JEDEN TRUDNY ROK

OPOWIEŚĆ O PRACY HARCERSKIEJ

W A R S Z A W A — 1938

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”



91926

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125901

OD AUTORÓW.

Książka ta przyjęła na siebie prócz zadań wiernej opowieści o życiu – jeszcze pewną dodatkową służbę: ma zawartemi na swych kartach projektami służyć praktycznemu realizowaniu przez młodzież zadań harcerskich. Czy ta służba, uczynione dla niej wyłomy w wątku powieściowym, dodają książce smaku prawdy życia, czy ją obciążają balastem – niechaj oceni Czytelnik.

Winni Mu także jesteście krótkie stwierdzenie: to wszystko, co tu odtworzone, działo się gdzieś, kiedyś – podpatrzone życie harcerskie, wspólnie przeżyte myśli, wzloty, trudności. Jednak nie wszystko w jednym czasie, w jednym mieście stanowiącym pierwowzór Pawłowa – o, i tu miejsce na przyjemne oświadczenie, że niemila postać pana Zaworowicza i cała jego afera nie istniały. Nie znaczy to, by zło, które się ucieleśniło w tej fikcyjnej postaci, było fikcyjne. Ono jest. Z niem trzeba walczyć. Nie „jeden trudny rok“. Całe życie.

Dobremu przygotowaniu tej walki nasza książka chce służyć.

*
* *
*

Pisaliśmy, począwszy od pamiętnej wizyty w Piotrkowie Trybunalskim w maju 1937 r., urywkami dni – i nocy – w Warszawie, Piotrkowie, Siemakowie, Łodzi, Poznaniu i Zakopanem, lecz przede wszystkim w Ośrodku Harcerskim w Górkach Wielkich na Śląsku, wśród jego miłych murów, w symbolicznej „celi“ na wysokiej wieży, w harcerskiej i twórczej atmosferze, pod czujną i serdeczną opieką Aleksandra Kamińskiego. Kto wie, czy ze swym „Antkiem Cwaniakiem”, z tysiącami rozmowami o sprawach harcerskich, z wnikliwymi uwagami o tych kartach – nie jest On właściwie trzecim współautorem tej książki?

Autorzy.

1 października 1937.

SILA I LOTNOŚĆ.

Pawłów tonie w cichej ciemności. Z wieży kościelnej sływa mdle światło zegara. Naszczekują psy, a od ogrodów dobiega głos stróżowskiej kołatki. Senny oddech podwórz i ulic porusza ciemne korony drzew. I tylko – czyżby to z głębin dochodził stukot serca miasta? Nie, nasłuchujmy uważniej: to zdala po kamieniach bruku tupot nóg podkutych, dwie pary? trzy? – tak, środkiem ulicy wala od przedmieścia trzy młode postacie. Huberta krok ten nieco wyprzedzający tempo, swój własny, posuwisty, Tarzan wali za nim kopytami jak słoń, a owe potknięcia, nerwowe podskoki i niespodziane dreptania to sprawki Adama.

– I pewnie: Kubuś – indywidualista, jakżeby miał iść równo taki kot – własnymi – drogami? – mruczy; nasłuchując, Konrad i rzuca w kąć pendzel, którym znęcał się od popołudnia nad piękną polewą ludowego garnka, czem wspomagał swojej matki domowy przemysł zdobniczy.

Zgasił lampę, zsunął się cicho z okna i zaczaiwszy się za węglem ogrodu, doczekał nadejścia trójki. Gdy się z nim zównała... – ...masz rację Tarzan. –

słyszą jego głos wśród siebie, a on pod ramię z nimi, jakgdyby od początku tak szedł, włącza się do rozmowy – jeżeli się to uda, może być grubszy krzyk i rwetes. Jak wam poszło?

– Trudno było. Tamci deptali nam po piętach. Ale wykręciliśmy cały szlak w takie wertepy...

– ...że napewno tego szlag trafi, kto na ten szlak natrafi – wtrącił do rozmowy Adek.

– Tarzan zjeżdżał nosem z urwiska, wiesz, z tego od cegielni...

– Tak – przytwardził Tarzan – urwały się ze mną 2 metry gruntu, byłby się pocharatał, ale Adam rzucił mi linę...

– I to tamtędy będą?...

– Tss – stłumił go Hubert – ściany mają uszy. Do niedzieli musi być tajemnica jak mur.

W ciasnym miejscu rozbili się na dwójki; od przodu słyhać było, jak Tarzan klaruje Konradowi, gdzie byli, co robili i co z tego wynikło, Hub zaś z Adamem mówili o oglądanych przez siebie w ciągu całego popołudnia i wieczoru „apelach wycieczkowych“ zastępów „Czwórki“, której Hubert był Drużynowym, Adam zaś pełnił nieokreśloną bliżej funkcję „przybocznego programowego“.

– Zśród młodszych zastępów najładniej urządziły harce przed ogniskiem „Jelenie“ – mówił drużynowy.

– A ciekawa rzecz z tym obrzędem odkopania zeszlorocznych spisów zastępów i odczytywania z nich, kto wytrwał od tego czasu, jaki dorobek sobie zdobył, na ilu był wycieczkach i t. d. U młodszych wypadł o wiele słabiej, niż u starszych. Wywarł tylko zewnętrzne, emocjonalne wrażenie...

– No, nic dziwnego, ci mali żyją jeszcze tylko terazniejszą chwilą. Dlatego są tacy łatwi. A zato czy uwierzysz, że miałem prawie łzy w oczach przy ognisku „Wilków“ w czasie ich puszczańskiego obrzędu? Dokoła noc, jasny krąg ognia, ich zamysłone twarze i poważny śpiew i aż kluje w oczy, w serce, że Bolka wśród nich nie ma; bo przecież mam stale w świadomości, jaką naszą przegraną jest to jego od nas odstępstwo i to wszystko, co później się z nim działo. I kiedy na wezwanie Tarzana, jako najstarszy, wyjąłem z ogniska niedopałek polana i odrzuciłem go precz... Precz od naszego harcerskiego ogniska?... Nie wiem, Adam, czy to nam wolno?

– Hub, przecież on sam od nas odszedł!

– On sam odszedł, powiadasz? Nie, bracie, to myśmy nie umieli dość jasno wskazać mu jego drogi. Zwierzę ci się, Adam: kiedy brałem z ognia tę zwęgloną główienkę, umyślnie przetrzymałem ją długo w ręku, długo, aż przypiekła mi palce, o, patrz. Jeśli symbolicznie – to z konsekwencją! Nasze ognisko zostało wyzwolone od niepotrzebnej, wy-

palonej główki, „Prawu Puszczy“ stało się zadość, ale mnie, strażnika tego ognia, niechaj piecze. Aby dobrze o tem pamiętał, że lekką ręką nie odrzuca się zdrowych bierwion od ognia! I będę o tem pamiętał!

Szli chwilę w milczeniu. Adam, korzystając z ciemności, patrzył na starszego kolegę wzrokiem pełnym uwielbienia. Nigdy sobie na to przy dniu nie pozwalał, trzymając się wobec niego sztywno. Poszukał dłonią dłoni Huberta i ogarnął sparzone palce. Drgnęło w nich wzruszenie.

Wtem – hallo, Adam! – dobiegło od dwójki, która ich wyprzedziła – jak wypadły ankiety w naszych zastępach? – Tarzan i Konrad, zastępowi najstarszych zastępów, z 6-ej i 7-ej gimnazjalnej, z zaciekawieniem wlepili oczy w Adama – to był dobry pomysł, aby odbyć ankietę przy ognisku, tylko ciekawe, co piszą?

– Nie miałem jeszcze czasu zestawić, rzuciłem tylko okiem. Odpowiedzi są bardzo ciekawe. Któryś rozpiął się na półtorej strony.

– Dostaliście po piątce z „sympatyczności“, a po palce z „wodzostwa“ – zażartował Hubert.

– O, nie! – dał Adam świadectwo prawdzie – za zeszłoroczne kierowanie pracą zastępów chłopcy wystawili naogół niezłe oceny. Tylko Konrad ma jakiegoś „wroga“. A zresztą zobaczycie; w wypowiedziach chłopców będą niespodzianki! ale nie

w ocenach i wogóle nie tam, gdzie się spodziewacie...

– A w czym? – rozciekawili się. Ale Adam wymigał się od odpowiedzi. Nie był gotów.

Doszli do Rvnku. Konrad przystanął. – No, mnie już czas do roboty, muszę na jutro skończyć te malunki – rzekł i, zwracając się do Huberta: – wiesz, z tego, co Tarzan mówi, widzę, że klawo się stało, że Hufcowy zgodził się na te próby naszej samodzielności. Jestem pewien, że cała ta niedzielna chryja będzie morowiej przygotowana, niż gdyby Komenda Hufca sama robiła. A przy tem ten wyścig pomysłowości między nami a Kregiem Starszoharcerskim, kto lepiej całą sprawę urządzi i to ryzyko, że całe nasze mozolne szykowanie się może pójść do bani, jeśli nie zda próby życia, to wszystko dodaje całej rzeczy jakiegoś nowego smaku! Doprawdy, to już pachnie poważną sprawą.

– I chłopcy jakby rozprostowali się. – Tarzan był bardzo czuły na samopoczucie swego zastępu – ostatniemi czasy czuli się jakby trochę zażenowani, to zresztą i z ankiety widać. Myślę, że dotychczasowe nasze harcowanie było dla nich na zbyt małą skalę, zanadto jeszcze dzieciennie. Teraz – trzeba naprawdę fachowca łączności i pionierki, żeby z tego ćwiczenia wyjść gładko. Oni to już wyczuwają,

szukują się na solidną przyprawę i czują się śmielsi. Jakgdyby odzyskali pewność, że harcerstwo znów nie zawiedzie ich ambicji pokonywania trudności na miarę naprawdę dużą.

– Dobrze się też stało, że potraktowałeś starszych inaczej niż młodszych. Im właśnie ciążyło to, że muszą być wciąż na jednym poziomie z malcami. Ta oddzielna zbiórka, osobny przemarsz, zaprojektowanie im odrębnego programu „apelu“ – no, i najważniejsza rzecz, zapowiedziane ćwiczenia całego hufca tylko dla starszych! To wszystko ich ujęło, słyszałem urywki rozmów...

– A propos rozmów. Ja posłyszałem coś dla ciebie, Hub, tylko się nie gniewaj...

– Skądże znowu! mów. Gdzie słyszałeś?

– W „Orłach”. Mówili: „ciekawe, czy to przyszła tylko taka moda dla zachęty na początku roku, czy naprawdę dadzą nam popracować trochę na własną rękę”. To znaczy, domyślam się, myśleli o pewnym samorządzie, a rozumieją go dobrze, bo jako wspólną pracę. I przyznam ci się, Hub, że ich rozumiem. Wszyscy w tych starszych zastępach chcielibyśmy mieć coś w rodzaju, jakby to powiedzieć? konstytucji. Wiedzieć, jakie na nas wkłada się obowiązki, jakie przyznaje się prawa...

– Ano, zobaczymy, – skończył rozmowę Hubert, – pewnie, że obmyślimy dalsze zmiany; zresztą, to dopiero początek wszystkiego. A co do har-

ców – uśmiechnął się – kto wie, czy nie będziecie jeszcze cieżko śpiewać.

– E! tego tylko nam trzeba – roześmieli się obaj i rozprysnęli się w ciemnościach, odchodząc do siebie; kroki ich dudniły jeszcze przez chwilę po bruku: Adama z Hubertem czekał jeszcze kawałek wspólnej drogi. Gdy mijali ulicę 11 Listopada, wpadło im w oko światło, jaskrawiące się w podwórzu dużego, głuchego gmachu.

– Patrz, Hub, w „ósemce“ jeszcze się świeci! Co oni robią o tej porze? A możebyśmy tak do nich zajrzeli!

– No, to już – zgodził się Hubert – bo Stach to ciekawy gość! Może dużo zrobić ze swoimi. A ktoby się po nim dawniej spodziewał?

Mówiąc to, już byli w głębi podwórza Towarzystwa im. Kościuszki, gdzie w baraku, opartym o mur sąsiada, znalazła siedzibę harcerska drużyna rzemieślnicza, do niedawna pod bezkrólewem będąca, dziś przez Stacha Rokickiego, nawróconego grzesznika, odnowiona i podnoszona z gruzów.

Z rozwartych nagle drzwi buchnął na wchodzących snop światła i wyolbrzymiony wśród nocy hałas roboty. Środkiem izby drabina, na niej dwu majstrujących u sufitu, przy warsztacie znany im Wacek Molenda ledwie zdążył rzucić im powitalne spojrzenie i już cały zniknął pod grzywą włosów, schy-

lony nad robotą. Z za stołu zerwał się żywo Rokicki.

– Właście! skądże o tej porze? i taki rynsztunek! lina, toporki, e! – i było coś z linią telefoniczną! – witał ich i odrazu okiem starego harcerskiego wygi zauważał charakterystyczne szczegóły; ale widząc zamiast odpowiedzi tajemnicze miny, porzucił pytania. – A my tu naszą chałupę remontujemy, ot, ci dwaj kombinują ramy do ruchomej przesuwanej ścianki, którą chcemy przedzielić izbę, aby była i do roboty w dwóch partjach i w razie czego na większe zebrania...

Adama zły duch przekory i konkurencyjnej zawiści dźgnął widać rogiem pod żebro, bo niedyskretnie zapytał: – a kto to będzie na te większe zebrania przychodził, jeśli was w całej drużynie więcej nad piętnastu nie można zwołać od roku? – ale zmilkł zaraz, usadzony na miejscu przez Huberta, który go swoim zwyczajem zagonił do roboty: – masz paplać byle co, Adam, to lepiej oblicz ankietę!

Rokicki jednak podjął zaczepkę.

– Będzie nas więcej, Druhu. Z początku, co prawda, werbunku nie będziemy robili, ani byłych harcerzy z powrotem przyjmować nie będziem, choć już się niektórzy i pyta o to, ledwie zobaczyli jaki – taki ruch w drużynie. Chcemy co innego: w naszej drużynie i izbie urządzić ośrodek pracy wszystkich harcerzy po ukończeniu „powszechniaka” i rzemieśl.

ników od 15 a nawet 14 lat w górę aż do 18-stu, z całego miasta, a nawet tamtych z Pogórza za miastem. Oczywiście oprócz tych, których macie w gimnazjalnej. Oni duszą się w swoich drużynach kierownicy szkół nie puszczają ich do budynków, drużynowi nie wiedzą co z nimi zrobić, sami oni nie palą się do ciągłej łączności z dzieciarnią, a tu są potrzebni; roboty tu zamierzylimy dość i potrzeba rąk do pracy!

Adam słuchał pół-uchem, zagłębiając się coraz bardziej w odpowiedzi ankiety, zato Hubert zainteresował się silnie.

– A jakże dacie sobie radę z drużynowymi? czy oddadzą wam chłopców?

– Już z czterema gadałem. Trzej bardzo morowo podeszli do rzeczy, czwarty, ten Zieliński, z początku nie bardzo rozumiał nas, myślał, że to zamach mojej ambicji na... jego ambicję, ale też dogadaliśmy się. Będziemy z początku lawirowali między spoistością naszej drużyny, a więzami, jakie łączą tych chłopców z ich macierzystymi drużynami.

– A nie grozi to komplikacjami?

– Pewnie, że tak. Ale dla chcącego nie ma nic trudnego.

– A będzie tak jak ze mną – popłynął głos od sufitu: – prowadzę zastęp w „siódemce”, a do „ósemki” przychodzę na dyskusję, świetlice, w nie-

dziękę będę na ćwiczeniach. A w sobotę naturalnie na spotkaniu z harcerkami – roześmiał się.

– Ale na przyszłość jak będzie?

– Zobaczysz się, co będzie silniejsze. Może przyłgnę tu na amen, a może nabiera się w ósemce tylu siódmaków, że się kiedyś odłączymy i powstanie nowa drużyna, do której po skończeniu powszechniaka będą stale przechodzić chłopcy z „siódemki“.

To nie jest jeszcze największy kłopot – odezwał się Wacek, leżąc na plecach pod warsztatem i walał młotkiem od spodu, aż szyby drżały, – grunt, czy się ubiera dość robotnych chłopaków, żeby dali radę temu, cośmy postanowili.

– A co zamierzyliscie? zwrócił się znów Hubert do Rokickiego.

– Mówić? – zapytał ten z uśmiechem Wacka, Romana i tego trzeciego u sufitu.

– Postanowione, że nie, to nie, choćby największym przyjaciółom! – zawyrokował Roman, więc Rokicki tylko ręce rozłożył i z uśmiechem przedstawił Hubertowi, że jest związany sekretem.

– Się robi, to się będzie mówić – wyjaśnił pojednawczo Wacek – a póki co, lepiej szumu nie robić. Co mają potem opowiadać, że ósemka wiele zamierza, a nie wykonuje?! My se pomalutku, aż do skutku...

– Powoli, powoli łapie się małpę – przytoczył Hubert ze śmiechem powiedzenie Roberta Baden-Po-

wella. – Ale zresztą i ja mam program bardzo prosty. I nie robię z niego sekretu...

– ?

– Mój program: nie przeszkadzać chłopakom robić... i tyle.

– Jakto?

– A tak! Nie moja rzecz martwić się, coby im takiego wynaleźć, aby się na zbiórkach nie nudzili. Od tego są kina, zabawy, no – świetlica szkolna, kolo sportowe. My jesteśmy związek ideowy – harcerstwo. Kto z nami chce iść, musi umieć dostrzec zadanie, jakie na niego czeka. To mam już za sobą, że chłopców w drużynie przez taką szkołę przeprowadził, że życie traktują jako pasmo przygód, przeszkód do wzięcia...

– Ach, tak to rozumiecie!

– Tak. I to, co im się zarysowuje obecnie jako przeszkoda godna ich trudu i zachodu, to jest nasz program. Zmuszę ich tylko do jednego: aby swoje zamierzenia ujęli konkretnie, zapisali – i dochowali im wierności. Zresztą wysunięty przez nich program nie będzie dla mnie niespodzianką. Znamy się już kawał czasu, a przy tem trochę projektów podsunąłem im w ankiecie.

– Jak potraktujecie harce? zrobicie z tem pauzę?

– O, nie! będą postawione bardzo wysoko! harce, turystyka, łączęstwo! byle były na takim po-



ziomie, że chłopcy muszą się wysilić, aby do niego dostać – wtedy są bardzo emocjonujące. Oni na pewno to wysuną. Ja myślę, że dzięki wysokiemu dotychczas poziomowi harców, ciąglemu wylazieniu w pole i pod Jedyną Sosnę osiągnąłem, że...

...skończę za was: że chłopcy nie są zblazowani, jest w nich prostota, radość życia i pewność siebie, płynące nie z udawania, lecz z własnej mocy i jak-gdyby z mocy lasu. To się widzi, tem się odznacza ją od innych.

– Oj, to, to – wtrącił znów do rozmowy majster uwieszony u sufitu – najgorsze to są pierońskie mamin-synki, takie pewne, bo w sztywnym kołnierzu, albo, że z panną umią sprytnie gadać, ale zrobić coś, to taki nie robi nic, rękę podniesiesz, to już ucieka, a w gębie to strasznie mocny!

– Ehe, mruknął Wacek – paniętasz, Zyga, tego, co tak nosa zadzierał na zawodach? Ale przestał zadzierać...

– No, to tężyzna fizyczna – powrócił do rozmowy Stach – a dalej?

– Zimą udział w Komitecie Zimowej Pomocy Bezrobotnym. To będzie egzamin naszej gotowości...

– Byle nie zamieniło się w cukierkową filantropję..

– E, nie! Bo jednocześnie zrobimy „otwieranie oczu“...

– Co to?

– Łaźnienie między ludźmi, zwłaszcza w czasie wędrówek letnich, z oczyma otwartymi na dorobek i na bolączki ich życia, sposoby dawania sobie rady, dążenia do naprawy i miejsca, której jej potrzebują. W razie czego – przysługi.

– Czyli tak zwane górnolotnie uświadomienie społeczne?

– Ano, właśnie. A jednocześnie duży wysiłek na samokształcenie. Stopnie będziemy zdobywać według nowych projektów. I to właściwie wszystko. Jeszcze tylko morowa świetlica! Nie przewiduję, by coś więcej projektowali. Zobaczmy, co powie ankieta. Nie jesteś jeszcze gotów, Adam?

Adam, rozgorączkowany, rzucał się nad stołem, wyłożonym papierkami i na wielkim arkuszu zestawiał ostatnie już odpowiedzi.

– Jeszcze chwila – rzucił urywkiem. – Ale sensacje, że ha!

Pochylili się nad stołem. – Morowa rzecz taka ankieta – przychwalił Stach – my zrobiliśmy też coś takiego, ale na gębę, bo naszym wypisać się trudno.

W tej chwili Adam wyprostował się z tryumfem.

– Hub, siądź, – zawołał – bo zemdlejesz z wrażenia! Słuchałem półuchem, coś tu gadał. I ty, fujaro, wujaszku z ubiegłego stulecia, śmiesz twierdzić, że rozumiesz współczesną młodzież?

– No, nie gładź, mów co piszą o programie!

– O programie? chcesz wiedzieć? a, to zobacz! puste rubryki, żadnych odpowiedzi, albo zdawkowe słówka! są tylko trzy dłuższe wywody, ale poznaję pismo zastępowych Tarzana, Konrada, no, i tego grafomana Zbyszka.. A ogół! oni niczego nie pragną...

– Czyżby? to by znaczyło, że – tu Hubert zasępił się – nie nauczyłem ich myśleć o drużynie, że nie przywiązują do niej wagi...

– A to znów nie! Patrz: za zeszłoroczną pracę jakie stopnie! Piątki, czwórki z plusami, w „Orłach“ trochę słabiej... A zresztą, patrz: w dalszych pytaniach, gdzie trzeba wypowiedzieć się o programie tylko: „tak” lub „nie”, wszędzie są odpowiedzi i, przyznam ci, zgodne z Twemi przewidywaniami.

– No, widzisz, to potwierdza mój program. Ale tamto milczenie o własnych projektach jest zastanawiające!

– Ono znaczy, zgnili liberali, że dzisiejsza młodzież niczego nie chce. Czeka na führera i za nim pójdzie, dokąd on każe...

Tu zaprotestował Stach. Ale go nie słuchali. Dopiero życie, późniejszy przebieg wypadków miał okazać, jak bardzo Adam był w błędzie. Ten zaś perorował dalej:

– Ale prawdziwa sensacja zaczyna się dopiero teraz. Co było najgorsze w dotychczasowej pracy drużyny i zastępu? ot, takie pytanko?

– Czytajże, nie błaznuj...

– Otóż – tu Adam spoważniał – „Orły” prawie wszystkie podnoszą w różnej formie sprawę Bolka. Że to wina drużyny.

Zapanowało przykre milczenie. Stach zaczął bębnić palcami po stole, zaś Wacek, który się był zaśluchał, ze zdwojoną siłą przybijał deski podłogi. Lecz Adam przerwał nastrój.

– A teraz dalszy numer programu – wołał, mrużąc oko do Huberta — co potępiają prawie wszyscy jako brak w zeszłym roku? Domyślaj się, pięknoduchu, niewinne dziecię dwudziestoletnie...

– Adam, bo jak mię zirytujesz tym wygłupianiem się...

– Oho, Hubert zapomina o swej próbie wytrzymałości! Wiadomo, gdzie jego drażliwy punkt! Otóż dowiedz się, że narzekają na brak kontaktu z dziewczętami, życia towarzyskiego, lekcji tańca, zabaw i herbatek!

Sensacją jednak okazała się nie tyle ogłoszona wiadomość, ile co innego: oto brzmiały jeszcze głos Adama przegłuszył wielki śmiech, którym parsknęli wszyscy trzej pracujący w izbie harcerze „ósemki”.

– Dziewczynek im się zachciało – ryczał Wacek – i do Dłuha psychodzą, zieby ich ziaplrowadzil – przedrzeźniali – a przecie chłopcy nie młodsi od nas, o, rany!

To zachowanie było dla Huberta i Adama sensacją, ale i lekcją: różnego tempa i rodzaju rozwoju płciowego chłopca w proletariacie i t. zw. inteligencji, jak też i nauczka, żeby sprawy nie lekceważyć.

Aby pokryć zakłopotanie, Hubert wyrwał Adamowi jego zapiski i pochylił się nad nimi przy stole. Chwilę trwało, a wtem zwrócił się doń zaskoczony:

– Adam, a to co? patrz, w tym eksperymentalnym punkcie: „czego pragnałbyś z głębi serca dla zastępu?“, – powtarza się kilkakrotnie taka odpowiedź: „żeby zastęp więcej znaczył w opinii ogółu“, „żebyśmy wygrali jakie wielkie zawody“, „żeby tak się zrobiło, że krótkie spodenki nie dają wstydu, tylko dumę“ i t. d.

Tu wtrącił się Strach. Ale niezrozumiale:

– Siła i lotność – rzekł.

– Nie rozumiem – pokręcił głową Hubert.

– To jest ten sam objaw, co u nas. Tylko nieliczni, przywódcy, chcą lotności. Reszta pragnie siły. Siła – znaczenie!

– Wybaczcie, Druhu, ale ja wciąż jeszcze nie rozumiem.

Ale Stach nie zdążył objaśnić. Wacek i jego dwaj towarzysze skończyli robotę i cisnąwszy za warsztat hebel i młot naciągali kapoty. – Fajrant! – huknęli i wyszli na ulicę. Za nimi i Stach z Hubertem.

Wsiąknęli w ciemne miasto. Pełgające światelka latarni wydawały się uciekać przed nimi. Było to aż prawie bolesne: ledwie się które ukazało zdaleka, ledwie się do niego zbliżyli, a już okazywało się, że to nie kres tego wyznaczonego światłem szlaku, że dalej błyska jeszcze dalsze, że jeszcze trzeba doganiać je...

Stach, zamiast objaśnić Hubertowi, co miał na myśli, mówiąc o sile i lotności, zrobił się zamyślony, milczący. Ale Hubert w tym ich milczącym marszu znalazł odpowiedź: ich kroki dudniły mocno w śpiącym mieście, budziły dalsze echa i Hubert wiedział, że te echa nie zamrą; nieomal słyszał jednocześnie z nimi tempo pochodu swoich i Stachowych chłopców. Mocne, silne, zwarte, jednające im w otoczeniu posłuch, znaczenie. Tak, to ta „siła“, o którą upominają się chłopcy, o której mówił Stach. Wiedział, że tak będzie. A jednocześnie ich milczenie...

...Ale jakim bogom służyć będzie ta siła?... nie spodzianie szarpnęły się te słowa z ust Stacha.

Spojrzeli przed siebie. I znów to przykre wrażenie: uciekające przed nim światelko latarni, jak-

gdyby w niem zakłęło się znaczenie owego, rzuconego przed chwilą pytania.

I znów milczenie wśród stukotu ich kroków. Coś w sobie wazyli. Coś Stach chciał Hubertowi powiedzieć. Nie powiedział.

Gdy doszli do rozstaju ich dróg, nagle wydobył z kieszeni zwitek papierów i wraził je w rękę Hubertowi. Ścisnął mu mocno dłoń i zniknął w zaułku. Hubert usiłował zajrzeć do kartek. Za ciemno. Ale czuł, że dostał do rąk odpowiedź, jakiś ważny, sekretny skarb Stacha. Jakby kawał jego duszy. Spiesznie pobiegł do domu. –

NARODZINY RUCHU, NARODZINY WODZA, NARODZINY PROGRAMU

To nie Hubert ze swoimi szaleńczymi pomysłami harców, ani ów „ważny“ z Komendy, który tak wszystkich rozpalil do roboty na specjalnej zbiórce starszych Hufca, ani nie ów cudowny Stacha powrót do czynnej roboty i to do jak czynnej! ba, ani nawet owo szarpiące sumienia zdarzenie z Bolkiem i jego sprawa – nie! nie! żaden z tych faktów, choć wszystkie walnie się przyczyniły – nie był właściwym początkiem rozruchu w harcerskim świecie Pawłowa.

Początkiem była – któżby się domyślił z pozorów? – gromadka niedobitków z „ósemki“.

Zaczęło się jeszcze wiosną. Maj przyszedł skwarny. Żarł kurzem i spiekotą, skończyły się już wszelkie „zimowe pomoce“, a sezon w przemyśle ani roboty jeszcze się nie zaczęły, skwarny zaś głód jest z głodów najgorszy – ciężko było, wcale nie mąjowo. Zeszli się wówczas którejś niedzieli: Wacek Molenda, Zdzisek od Lamotów, Roman, a w złej godzinie się zeszli, bo u Zdziska w domu była żaloba, braciszek mały pomarł („na proletarjacką cho-

robę“ – miało stać w „Łodzianinie”) – Robert zaś „czternastkę” dostał, a i to majster kazał dziękować, że z miejsca nie wyrzucił, Wacek tylko jeden jakoś się trzymał w formie, ale nie bardzo mu to szło, bo był z tych, których boli, gdy drugiego los gniecie.

I tak im było, że ani te dziewczynki, co się do nich, do Zdziska zwłaszcza (jak na złość) uśmiechały białemi zębami, ani zwykła fanfaronada, za pomocą której w dekoracji kwiecistego krawata, mandoliny i fryzjerskiej grzywki nadrabiali zwykle braki swego samopoczucia, ani nawet niezawodne dotychczas zbiorowe milczenie, druga ostateczność niosąca ich w piękną dal (aż do przebudzenia) – nic się ich jakoś nie imało.

Zaczęli gadać. Tak poważnie, że jeden na drugiego coraz poglądał, czy tamten nie myśli tu kawału (w niestosownej godzinie) odstawić – ale nie, szło im to z serca, z tysięcy, na pół zapomnianych spostrzeżeń, z nigdy nie wypowiedzianych tęsknot, – aż dogadali się. Nie, żeby wnioski jakieś, za trudno im o to, ale się ten ich niejasny ból, żalność, niedosyt umiejscowiły, skryzalizowały.

A skryzalizowały się w tem, że im bielmo z oczu spadło. Przejrzeli wzrokiem, którym dawniej nie władali, że takich, jak oni, są setki, kopijących szmaciankę przez całe dni, zaciągających się niedopał-

kami „fajek”, rżnących w „oczko”, wałęsających się z dziewczętami, jeszcze od nich młodszymi smarkulami, po wszystkich zakamarkach Pawłowa. I setki lepszych od tamtych o ten jeden szczebel, że pożyczanym krawatem fasonują sobie elegancję do marynarki z za krótkimi rękawami, do spodni z siedzeniem przetartym jak sito. Porażonemi choć jeszcze odważnie i śmiało patrzącemi oczyma wybiegli naprzód o rok, dwa, trzy i ujrzeli siebie, gonionych z izb precz zaciętem spojrzeniem ojca, oblepianych błagalnym wzrokiem matki, odpędzanych od każdego warsztatu, fabryki, majstra, bo pracy nie ma; pławiących się w szczęściu, gdy uda się siłę młodych rąk sprzedać po 18 groszy za godzinę pracy.

„Świat pracy” – ale gdzie ta praca? – splunął z sarkazmem Roman. Lecz słowo mówione ma swój jakiś czar: przez skojarzenie z pieśnią, okrzykami, mowami brzmiącymi im w uszach, jeszcze od 1 maja – chwyciło ich w karby i podnieciło.

– E, Romek, na świat pracy nie pluj – powiedział wolno Wacek.

Wyszedszy z za zakrętu ulicy stali właśnie przed wielkim blokiem budynków huty „Brzask”. W zachodzącym słońcu czerwono błyszcząły okna, kita dymu zlewała się z pasmem chmur i zdawała się obejmować obręczą cały ziemski horyzont. Powie-

trzem niósł się łomot trybów, tłoków, dźwigów. W obliczu tętniącego warsztatu pracy doprawdy nie na ironię się zbierało w duszy, lecz na jakiś wyso-ki patos. Może na gniew, a może na entuzjazm, twórczość i walkę.

Młodzi są Wacek, Zdzisek, Roman. Młodzi, bo nie gniewem, nienawiścią, desperacją wybuchły w nich złoza zdawna zgromadzonego materiału, na który teraz oto iskra jasnowidzenia padła, lecz zapaliły się jasnym płomieniem entuzjazmu szukającego drogi do twórczości.

Gdybyż tak dało się podnieść to wszystko, prze-robić, ludziom wytłumaczyć, co i jak trzeba. Prze-cież wszystko może jeszcze być dobrze. Mignęły im w wyobraźni czy to własne, czy z jakichś – filmów zaczerpnięte obrazy przyszłości, która by być mo-gła.

– Wyzwolenie świata pracy – wymknęło się któ-remuś.

Spojrzeni na siebie – i uśmiechnęli się. Do tego słowa i – z tego słowa. Bo wyświechtane ono było w Pawłowie i nieraz już tylko uśmiechać się z niego wypadało. Dawne czasy pierwszego w Polsce „pol-skiego“ strajku, wygranego ongi bohatercko przez pawłowską hutę szkła, minęły dawno, to zaś co te-raz było, nie było – wyzwalaniem się świata pra-cy.

To sobie też wspomnieli, bo więcej oni widzieli

oczyma swego chłopięctwa, niż się komu zdaje. I więcej ich raniło to nieudawanie się walki o lepszą przyszłość, niżby ich kto podejrzewał. Dlatego nie dziw, że westchnieniem, które się znowu jednemu z nich wyrwało po pełnem treści milczeniu i paru przerzutach krótkich, wiele mówiących zdań – by-ło:

– A gdyby tak mogło powstać coś takiego... jakby to wyrazić?: partia uczciwych robotników! Ogól-nopolska, dla wszystkich uczciwych. Żeby wywal-czyła sprawiedliwość...

I z tem zostali. Z tem marzeniem o „partii uczci-wych robotników“.

Gdy zamyślonym jeszcze krokiem wracali znów do miasta, byli już całkiem inni, niż przed dwiema godzinami. Nie poznał tego Druh Nauczyciel, który ich i w tamtą stronę idących widział i nie dziw, bo trudno taką rzecz rozpoznać; to też wołał do Ro-mana jak do dawnego: – Romciu! no, kto pierw-szy do tamtego płotu!!! – i zdziwił się ogromnie, gdy mu nie tylko nic nie odpowiedzieli, ale nawet się nie uklonili (był to zaś ich dawny Druh, tylko że od jesieni wcale na zbiórki przestali przychodzić, że to do dawnego powszechniaka „nie opłata“). O-burzył się, ale i im trudno się dziwić – boć prze-cież ich dotknął obraźliwie: gdzie im ta w głowie wyścigi do płotu? inni już byli... Inną barwę do-stał świat.

Tego wszystkiego nie mógł poznać Druh, ani nawet niczego nie dosłyszał w pieśni, którą dla przekory zaczęli śpiewać, fałszując paskudnie melodję hymnu robotniczej młodzieży (którego Druh znać nie mógł żadną już miarą):

Pra-a-a-cować nam kazali...

a Romek przedrzeźniał: nie da-a-a-li...

*na egzystencję swą,
jesteśmy już dojrzałi,
gdy inni dziećmi są.*

*

*

*

Takich jak Wacek, Zdzisek, Roman więcej było w Pawłowie.

Namnożyło się ich w tym skwarnym maju, a nie przypadkiem to się stało, jeno przez konieczność, można powiedzieć, ekonomiczną.

Ciężkie czasy przyszły dla Pawłowa. Ceny żywności szły w górę, zatrudnienie malało, strajki jeden za drugim przegrane, – a że ciągnęło się to od dawna, przeto zaczynało w masach powracać przekonanie, że na to radą mogą być nie sporadyczne wysiłki, lecz ogólna przebudowa demokratyczna i reforma społeczno-ekonomiczna.

Struna więc była napięta i młodzież to czuła. A choć z jednego końca napiętej struny szeregował się świat pracy, z drugiej strony struna drżała niepokojnymi wybrykami, powodowanymi przez sfery polityczne.

I te drgania młodzież również czuła. Zwłaszcza, że to było jurne, krzykliwe. Robiło pozory rozmachu.

Wacek i jego nieznanymi licznymi towarzyszami, poszukiwaczami Lepszego Jutra, nieraz byli nagabywani, by przystąpić do tych albo innych, lecz coś ich odpychało. Podziemne zapachy, bijące, od tych „robotów”, niezgodność hasła z czynami, hece, które wyprawiano, zamiast coś robić, – nie, to nie było w ich duchu. Ze zbyt bliska widzieli, jak za kilka kwater wódki robi się „wzburzenie ulicy”, jak „pikiety bojkotowe” każą żydowskiemu sklepikowi okupywać się pięćdziesiątówkami, aby jednak dopuścić klienta do umówionego żydka, nazbyt też gromem poraziła ich wieść, jak polskiego harcerza z Rumunii tak zwani narodowcy do krwi, nieprzytomności i kalectwa kamieniami utłukli na polu pod Radzymi-
nem za to, że mu matka natura przy porodzie krzywy dała nos i kręcone czarne włosy. Zbyt to było odstręczające i zbyt niedalekosiężne, by ku tej stronie można było krok zwrócić: ale jednak szum to robiło,

podkreślało potrzebę organizacji i młodzież oglądała się wciąż za „partją uczciwych robotników”. Tej jednak – jak wiadomo – nie było.

Od komuny byli daleko, a choć ich próbowała kusić, pachniała czemś nie-młodem, lecz nazbyt zrezygnowanem, zatracenchem, zbyt niszczyielskiem, by młodych, jeszcze nie zdesperowanych ku sobie pociągnąć. W związkach zawodowych – nie potrzebowano młodych, do partyjnej organizacji młodzieżowej wstąpić nie chcieli, a znów różne inne próby pod szumną nazwą przedsiębrane, do których też ich naciągano, budziły niechęć w młodych, żądających konsekwencji i prostolinijności, a to było – ni pies ni wydra, i Bogu stawiało świeczkę i djabłu ogarek. Przytem dowiedzieli się, że byli tam ludzie, co przechodzili z grupy do grupy, wężąc lepszy interes.

To wszystko częścią widząc, częścią słuchy o tych faktach zbierając, trzymali się ci wszyscy z boku i czekali, co dalej.

*

* *

Ale długo czekać nie mogli. Nie wiedzieć, jak skończyłaby się ta koniunktura, gdyby nie zrządził wypadek (czy może znów ekonomiczna koniecz-

ność?!), że jak w nich żarem dusze się rozlitły, tak i w kimś innym płomieniem zapaliło się wnętrze. I że się te ognie wzajem odnalazły.

Na ślad tego pożaru, nie niszczylskiego, lecz twórczego w skutkach – natrafił właśnie Hubert, mnąc w dłoni Stacha pamiętnik. Ledwie dopadł domu, pchany ciekawością, rzucił się na łóżko i przy małej lampce, przerzuciwszy kilka mniej ciekawych kartek, zaczął czytać.

16 czerwca. Pawłów.

.....skończone. Ale nie żał mi niczego. Gdy się coś w mem życiu kończy, jest we mnie radość oczekiwania na to nowe, co ma nadejść. Bo moim Bogiem jest rozwój, wieczne stawanie się kimś nowym, ta pewność, że wszystko przede mną stoi otworem, skoro nie boję się żadnej przyszłości. A nie boję się, bo gdy człowiek ma tę wiarę, że natura ludzka sama z siebie, według własnych swych praw dąży ku dobremu, – rozwój jego może być tylko stałem polepszaniem siebie. Ja mam tę wiarę i choć czasem te moje odmiany dokonują się pozornie niekonsekwentnie – zawsze potem okazuje się, że dobrze się stało, bo dokonało się poto, żebym mógł się okazać znowu pełniejszym człowiekiem.

Tak było dawniej: i wtedy, gdy w szóstej klasie, 100%-owy harcerz od lasu i pola, mistrz trojga sygnalizacji, cisnąłem o ziem chorągiewki i saperki, a założyłem kółko dyskusyjne im. Karola

Kautskiego, i wtedy gdy byłego prymusa klasy wylano z budy za pospolitą grandę, i wtedy gdy skończyła się zwarjowana miłość do słodkiej podfruwajki, co tyle mnie bolało, a tak było potrzebne, abym mógł, miał siłę dokonać w sobie zamachu stanu, wyjść z trzaskiem z drużyny gimnazjalnej i dać nura w zaciekłą robotę w szkole powszechnej. I potem, tyle jeszcze razy...

I wierzę, że tak samo będzie dziś. Dlatego niczego nie żałuję. Ani, żem przed półtora rokiem wyrwał się wcale nieładnie harcerstwu, bynajmniej nie dla „wyższych celów“, ani nawet tego głupiego roku w Warszawie i niezdaných egzaminów zeszłorocznych, i – o dziwo – nawet tego mi nie żał, że po odwaleniu wreszcie nieszczęsnego I kursu Uniwersu, porzuciłem oto piękną stolicę, a w niej och! i ach! Wandeczkę z okienka na Pradze, a zato będę wcale nieinteligentnie, jak na młodzieńca z takimi aspiracjami, stemplował koperty tudzież pocztówki na poczcie w mym rodzinnym grodzie, raz z przodu, raz z tyłu, proszę państwa, a polecione, a jakże, jeszcze dodatkowo raz z boku..., zaś z krynicy wiedzy pić będę na odległość, egzaminy zdawać chyba przez telefon?

A nie żał mi niczego, bo wiem, że tamto wszystko po to przeszło przeze mnie, abym teraz mógł z radosnym drzeniem oczekiwać : coś przyjdzie, zno-

wu jakaś wielka pasja, która mię całego pochłonie, ogarnie!

Niech przyjdzie, czekam!

20 czerwca.

Bolek w więzieniu! Bolek w więzieniu... Chodzę po mieście od rogu do rogu ulicy i powtarzam te słowa, pytam się ulic, pytam murów, jak się to stało, jak dopuściło do tego to miasto, z którego wyrósł, którego miał być chlubą wedle naszych wspólnych marzeń, a które go ciężarem swej nędzy przyniotło.

Byłem onegdaj w Sądzie na sprawie. Sprawa taka krótka. Wyrwał Żydowi torbę, zagroził nożem. Art. 259 – rozbój. Wyrok łagodny. 2 lata i pozbawienie praw. I pozbawienie praw obywatelskich i honorowych na lat pięć. Sprawa taka krótka. Od tej chwili do dziś przecieram oczy, nic nie rozumiem. To Bolek, Bolek?

Był jednym z najczynniejszych harcerzy „czwórki“, wspaniałym wychowankiem mojego zastępu. Doskonałym uczniem. Mało kto wiedział, jakim kosztem to osiągał. Nędza była straszna.

Nie będę dziś tego w szczegółach wspominać, nie zapomnę nigdy tamtych scen, w których nie chciał nigdy przyjąć pomocy. To bieda przeżarła go widocznie. Jak innym gruzlica przeżera płuca, tak jemu nerwy zjadła. Rozstałem się z nim u

szczytu jego rozwoju, gdy był w szóstej klasie. W siódmej zaczęło się podobno coś psuć w nim, na cenzurę pierwszego kwartału dwie dwójce, na półrocze jeszcze gorzej. Odbił się od harcerstwa. Jakaś awantura z którymś z belfrów. Odbierają mu stypendium. Zrywa się jeszcze do walki; znów upada. Pamiętam jego listy z tego czasu. Było w nich coś groźnego. Potem się urwało. Okazało się, że porzucił szkołę. Zaczął bywać w lokalach, pić.. Potem okazało się, że chodzi coraz lepiej ubrany, A potem, Boże, Boże...

Czy jest związek między nim, a mojem oderwaniem się od naszych „misyj“, od wzajemnej pomocy w doskonaleniu się, od harcerstwa? stawiam to pytanie, czując zimny pot na karku. Bo jeśli jest...

24 czerwca.

Któżby pomyślał, że taki stary nudziarz, stryj Michał, zdoła mi tak bobu zadać.. Odwiedziwszy ojca, opowiadał dzieje walk o niepodległość, w których brał udział pod wodzą Dziadka: z początku jako Towarzysza Wiktora, potem, w Legjonach – jako Komendanta.

Z najdawniejszych przeżyć opowiedział o czasach 1905 roku. Był w Zagłębiu Dąbrowskim w „technice“, czyli pomocy dla Organizacji Bojowej właśnie w tym czasie, gdy Kwapiński ze swemi dwiema „piątkami“ dokonał napadu na pewną kasę

gminną, gdyż Partia potrzebowała gotówki na zakup broni dla walki z caratem.

Cóż za porywający bieg zdarzeń! Prov adzona przez Kwapińskiego wchodzi jedenastka do osady; rozbijają żandarmów, w imieniu Partji kwitują wójtowi odbiór gotówki rządowej na cele walki z Carem Wszechrosji, portret carski zwalają ze ścian i w ordynku odchodzą przez osłupiałe osiedle. Gdy są już w polu – ich śladem zrywa się pogoń. Żandarmi i – chłopci z kłonicami – kupieni, obalamuceni – o wstydzie – przez własnych swych wrogów. Dziesiątka tyralierą cofa się do lasu. Kwapiński za nimi wolniej, aby ich odwrót osłonić. Gromada goniących naciera, śmierć niesie albo groźbę katorgi. Ale Kwapiński nie strzela: żandarmi na czoło pogoni wysunęli w swej chytrności – chłopów. Zaś Organizacja Bojowa polskich robotników nie strzela do polskich chłopów! Kwapiński otoczony, zбитy do nieprzytomności, z czarną, nabrzmiałą od ciosów twarzą, odstawiony zostaje do aresztu. Pozostawał w katordze do roku 1917. Jedenaście lat. Niezłamany. Po katordze – czynny. Zostaje na całe lata wodzem organizacji zawodowej robotników rolnych, z przezwiskiem „Król Parobków“. O, potężne koło historii, stawiające tego, który wolał własną śmierć niż strzał do polskich chłopów, – na czele ruchu wiejskiego.

Boże, Boże! W tamtych czasach żyć, między takimi chadzać bohaterami! a ja, dziś....

17 lipca.

Nie mogłem nic pisać przez te dni. Znalezione listy Bolka. Już z okresu po załamaniu – do pewnego harcerza. Streszczają się w jednym: ratujcie mnie! Tak było, jak przypuszczałem. Walka z nędzą go przeżarła; gdy się zachwiał i trzeba było znów wielkich wysiłków, brakło mu już sił; nie było środowiska, któreby go podtrzymało, drużyna okazała się za dziecinna i „pięknoduchowska” – upadł. Wśród serdecznych przyjaciół psy zjadły. Ja wtedy kochałem się, pisałem wiersze....

25 lipca.

Jako świeżo powrócony na ojczyzny łono, poznaję od nowa nasze miasteczko. Poznaję całkiem od nowej strony: dawniej go takim nie widziałem. Przedmieście – te okropne nory, te domki, nawet i schludne i względnie dostatnie, ale bez wewnętrznego życia, te dziesiątki młodzieży wałęsającej się bez celu, marniejące fizycznie i duchowo... „Młodzież pod obuchem bezrobocia” – przypomina mi się taka broszura. Widzę ją teraz – pod obuchem bezrobocia...

1 sierpnia.

Przerzuciłem kilka zapisanych kart tych moich

notatek. I uczułem się zaskoczony tem, co napisałem 24 czerwca.

Bohaterstwo! Nic dziwnego, że mię porywa, młodego. Ale dziś nie bohaterstwo jest sztuką największą. Dziś – wytrwanie! mieć oczy szeroko otwarte, wyszukać mocne oparcie dla świadomej roboty i wytrwać. Ot, dziś to już piszę spokojniej –: nie porzucić takiego Bolka w rozterce, lecz przeprowadzić go przez najtrudniejszy okres życia; nie wahać się, gdy całe otoczenie woła o ludzi do pracy, którzyby współdziałali z chcącymi przebudowy – to bohaterstwo dnia dzisiejszego. Nie potrzebuję na to mocnych słów, by to sobie wyrazić. Ja to wiem – pełną pewnością.

Tylko jakie wybrać stosowne miejsce do pracy?

2 sierpnia.

Cóż za zbieg okoliczności! Właśnie po tem, co wczoraj myślałem, zgłaszają się dziś do mnie trzej młodzieńcy; zapamiętałem imiona: Molenda Wacław, Lamot Zdzisław, Sobczak Roman. I mówią mi rzeczy, które jakby mi wyczytali w duszy. Powołując się na to, że jeden z nich mnie znał jako zastępowego w „Czwórce“, wzywają, abym powrócił do roboty w harcerstwie, że jest grupa młodych robotników, terminatorów lub bezrobotnych, która by chciała odrodzić dawną, obumarłą „ósemkę“. A jak oni to traktują! zarazem ideowo i trzeźwo. Przyszli z całym planem. Czego tam nie ma! dużo

rzeczy wymagających zmiany, ale trzon, trzon zdrowy! Mój Boże, żądają ode mnie, abym założył początek... harcerskiej partji uczciwych robotników!... Gadaliśmy ze trzy godziny, próbowałem im wytłumaczyć, że to niemożliwe w tej formie, tylko bardzo blisko czegoś takiego, ale nie wiem, czy przekonałem, chyba nie. W każdym razie jestem z nimi, jestem z nimi!

Ekspiacja za Bolka! rzucam się w objęcia nadchodzącej pasji! jak ja będę pracował, jak ja będę robił! I wytrwam! Żeby kiedyś, jeślibym spotkał gdzieś Kwapińskiego, móc mu spojrzeć w oczy: wytrwałem. Nie w tak bohaterskich bojach, ale w walce też ciężkiej a trudnej: o duszę młodzieży!

*

*

*

Rozsiedli wśród desek, narzędzi, świeżo skleconych sprzętów powstającej ich siedziby – trwali w naradzie od dłuższego już czasu Stachowi chłopcy.

Stach był atakowany. Uparcie, z żelazną prostolinnością śledząc krok za krokiem jego rozumowanie, starali się zrozumieć, dlaczego odrzuca ich myśl o „partji“, co im daje wzamian?

Mówił im:

– Słuchajcie! Życie społeczeństwa, jego postęp –

można przyrównać do jakichś całych setek alpinistów wdrapujących się poprzez liczne trudności na olbrzymią górę, której szczyt tonie we mgłach....

– O, zaczynają się porównania, widocznie chce coś tego zalać... – mruczy, zresztą przyjaźnie, Wacek.

– Nie ma co się ludzić – ciągnie Stach – nie wszyscy wchodzą zgodnie. Są podzieleni na grupy, każda pod kierownictwem swych przewodników szuka wejścia inną drogą. To są...

– Partje – woła ktoś.

– No, tak, kierunki polityczne, nazywające się, albo i nie, partjami. Otóż, uważacie, organizacja młodzieży w takim wieku, jak wy, nie może podjąć się wobec was roli takiego przewodnika wskazującego najlepszą drogę poprzez trudności polityczne i ekonomiczne.

– O, właśnie to! dlaczego nie może? – zerwały się okrzyki – mamy zaufanie, że to byłby właśnie uczciwy przewodnik! co? boi się?

– Ależ zrozumcie, że to nie nasza rola! wy przecież nie możecie usuwać kapitalizmu, ani rozdawać ziemi, bo jesteście, z przeproszeniem jeszcze smarkaczki. Ale wy macie inną rolę, ogromnie ważną – wołał Stach z tryumfem – tylko spełnijcie ją uczciwie!

– No? – pytano, próbowano się domyślać.

– Przecież ci taternicy, którzy się tam wspinają,

muszą być do tego wytrenowani, odpowiednio zaopatrzeni: oni na jakichś mniejszych turniach muszą uczyć się wspinaczki, poznawać trudności spotykane po drodze, poznawać historię dotychczasowych poszukiwań drogi. Oni muszą przygotować sobie ekwipunek, aby każdy z nich był nie przeszkodą w marszu, ale jednym z pionierów, na wszystko gotowych! Oni mogą część drogi, już zdobytą, umacniać i udostępniać szerszym masom, aby mogły się wspiąć na tak samo wysoki poziom; więcej! w swych rówieśnikach mogą wzbudzać ducha, podniecać ich do poszukiwań, bo wielu z nich, którym jest dobrze, nie chce się ruszać dalej, a jeszcze liczniejsi, którym jest źle, zrezygnowali... Przetłumaczcie teraz moje porównania na język praktyczny, który bardziej lubicie, a będziecie mieli moją odpowiedź: partią żadną być nie możemy – zato możemy i musimy być organizacją przysposobienia społecznego!

Stach skończył – i osłupiał. Myślał, że spotka znów wbite w ziemię oczy i kręcenie głowami, a tymczasem otoczyła go wrzawa:

– Ty, Stach, to prawdziwe austriackie gadanie! poco było przedtem tyle opierać się, kiedy myśmy tego samego chcieli? Co się tak upierać przy nazwie?! My nazwaliśmy partią, bo najłatwiej, ale rozumiemy się, że na posła cię nie wybieramy, tylko

właśnie – jak to powiedziałeś? – organizacja przysposobienia społecznego.

– Znaczy się, że co? – pytał niemrawy Michał, zaskoczony tem poruszeniem. Zawsze wszystko później rozumiał.

– Znaczy, że klawo jest – krzyczał Zdzisiek, wlaższy na stół. Zapisywałem, co on tam głądził po swojemu, a teraz według tego układamy nasz program po ludzku! No, już!

– Pierwsza rzecz, siła musi być! – wyrwał się pierwszy Waćek – żeby zaimponowało każdemu. No, i wam samym, niewierni Tomasz...

– Znakiem tego jadziem do Zakopanego na naraty! – Heniek ledwie wytrzymał do tej chwili z projektem, który był ich tajemem a najwyższem marzeniem.

– Jakbyś zgadł! i robi się klub piłki nożnej! nie?

– Rany Boskie – irytował się Zdzisek – jak wy nic a nic nie rozumiecie. Przecież Stach tyle gadał, żeby się od nas zaczęło rozumienie przez młodych, że muszą się podciągnąć do poziomu poprawiania świata, a wy nic...

– Wcale nie nic – odezwał się Roman – ja na przykład rozumiem to w ten sposób, że musimy w drużynie przejść jakby kurs na działacza robotniczego, umiającego pracować w związkach zawodowych albo w robocie oświatowej...

– Ty się tak nie irytuj, Zdzisiek – wtrącił Wa-

cek – oni mają rację z tą wyprawą do Zakopanego i z klubem. Także, uważam, musimy mieć specjalność. Z nami muszą się liczyć, musimy sobie zdobyć znaczenie. Jak takiej rzeczy dokażemy, to potem i dalszych, ważniejszych!

– Wiadomo, muszą się z nami liczyć i musi być siła gromady, ale...

...I to mocna siła – ciągnął Wacek – sprężysta organizacja, prowadzona przez nas samych, bo tylko tak można zdobywać doświadczenia organizacyjne.

A Roman upomniał się: – Cóż to za siła gromady, jeśli w gromadzie kilku bez pracy chodzi, a my nic? ja uważam: pierwsza rzecz – samopomoc!

– No, pewnie, ale...

– Nie ma żadnego „ale“ – wyskoczył znów Michał – robimy zimowisko, klub i specjalność, no i ten kurs na działacza zawodowego, może być i samopomoc. I szlus.

– Jest wielkie „ale“ – huknął nagle Władek, popierając niedopuszczonego do głosu Zdziska. A gdy się od tego okrzyku ściszyło, szerokim machnięciem ręki pokazał: –

– A to dla was już nic nie znaczy?

Zwrócili się ku ścianie! Wymalowane tam było ich godło: 8-ej drużyny. Długo je w czasie urządzania izby komponowali, obmyślali wytłumaczenie, entuzjasmowali się jego znaczeniem:

Wielka czarna linia pozioma przewiązana była w środku grubym łańcuchem, wyprężonym ku górze. Dwa ogniwa łańcucha gorzały jaskrawszą od innych barwą, tworząc cyfrę 8. Cały zaś łańcuch prężył ku górze skautowa lilja, której liście wystylizowane w jakby strzały – torpedy, dążyły wzwyż, również jaśniejąc tym samym blaskiem.

– A to dla was już nic? – denerwował się Władek – tej czarnej linii, tego przeciętnego poziomu naszego życia, codziennej rzeczywistości, to już nie chcecie podnosić do góry? Tym łańcuchem? którego ogniwa, ot właśnie te dwa jasne – –to mieliśmy być my! A wydaje się wam, że ten łańcuch tak sam do góry pójdzie, jeśli go lotność ducha nie będzie do góry ciągnąć, jak ta lilja czy strzała? A gdzie w tym waszym programie jest to pociąganie innych za sobą? gdzie jest lotność myśli? Czy to miało być tylko takie gadanie, czy robota? Bo jeśli gadanie, a skończy się na footballu, to do widzenia. To ja tu u was nie mam nic do roboty!

Właśnie wybuchu Władka potrzeba było, aby postawić na porządku dziennym sprawę owej „bojowości“, o której się tyle przedtem mówiło i czytało. Wszyscy to mieli na myśli, ale każdy się obawiał z tem wystąpić, bo doprawdy sprawa była trudna i ciężko było brać na siebie ryzyko rozpoczęcia jej.

Chodziło o to, żeby (ponieważ już czuli w sobie

potrzebę przyczynienia się do tego, aby cały świat mógł iść ku postępowi i sprawiedliwości) – żeby tę rzecz przegryźć, poznać obecny stan rzeczy, jego dobre i złe strony oraz sposoby dalszego ulepszenia albo też naprawiania błędów, i potem żeby tej ideologii (już nie tylko wyczuwanej, ale i rozumianej) nie schować do kieszeni, lecz przeciwnie: rozprzestrzeniać ją, stosować praktycznie i wprost narzucić innej młodzieży, niezrzeszonej.

– Więc teraz ta najważniejsza sprawa! – zaczął po chwili milczenia Roman – Jak ją wyobrażaliście sobie, praktycznie, Druhowie: Władku i Stachu?

– Bardzo poprostu! Do naszych zebrań włączymy pracę samokształceniową, zwłaszcza uświadczenie społeczne. Po jakimś czasie dojdziemy do pewnych wniosków. Wtedy te wnioski ujmemy w sposób jasny i zrozumiały i zrobimy ich propagandę w naszym mieście, wśród młodzieży.

A Władek, już uspokojony, dorzucił – Naturalnie, nie będziemy zajmować się wszystkim do kupy, tylko tą dziedziną spraw, która wyda nam się najpilniejszą. Ja proponuję: wszystko, co dotyczy pracy człowieka. Dorobek pracy ludzkiej, położenie świata pracy, warunki w jakich się pracuje, przyszłość... I można z tego zrobić – wystawę. Albo inną propagandę.

I tak się stało, jak potem Stach mówił Hubertowi w nocnej rozmowie, kiedy to zeszli się przy

rozpoczęciu roku pracy: Pragnienie zwartej siły, dążenie do znaczenia wybuchło w chłopcach jak żywiol i wiadomo było, że będą robić z zapalem a wytrwale. Ale w jakiej dziedzinie wykonają to swoje „dzieło“, czem zaznaczą na życiu środowiska swoje istnienie, tego ogół nie wiedział. Ogół chciał siły, chciał znaczyć. I gdyby na czoło nie zdolali z pośród samego ogółu wysunąć się przywódcy lotni duchem, widzący kierunek marszu, a tkwiący korzeniami w świecie młodzieży, jeśli by nie umożliwili realizowania w sposób praktyczny i pozytywny a niesfałszowany tych chęci i dążeń, gdyby się ta siła gromady z lotnością idei nie sprzegła – kto wie, czyby się w tej grupie w Pawłowie nie dokonała jeszcze jedna tragedia wykoszlawienia grupy młodzieży. Tragedja, jakich wiele dziś w Polsce. Na które się oburzamy, nad którymi łamiemy ręce. A nie umiemy sięgnąć do ich dna.

Z PRZYGODY W PRZYGODĘ

Komenda Hufca przeznaczyła do wykonania projekt nocnych ćwiczeń Hufca dla starszych zastępów, opracowany i przygotowany przez Radę 4-ej Drużyny. Hufcowy ogłosił postanowienie, ale z wielomówiącym uśmiechem pokręcił głową.

Pomysł był iście Hubertowski, zwarjowany: wyścig naprzelaj dwukołowych metalowych wózków polowych (hojny dar sąsiedniej fabryki dla harcerstwa pawłowskiego jeszcze na zlot spalski) obciążonych polowymi telefonami i zwojami przewodów (pożyczka wojskowa), oraz zawierających ekwipunek biwakowy. Rozkazy co do dalszej drogi ma wydawać telefonicznie stacja nadawcza.

Zastępy „Czwórki“ i „Ósemki” wystartowały jako pierwsza zmiana w sobotę o g. 17¹⁵. Na prostej od razu wysunął się na czoło wózek drużyny rzemieślniczej. Zboczem, poprzez rżyska toczył się, podskakując i widać było jak Roman i ogromny Mi-

chał prawie na ramionach go unosili, gdy pędzony wąską miedzą jechał prawem kołem przeszło pół metra wyżej niż lewem. Wtem poprzez złane potem powieki ujrzeli zdala „czwartacy“, że ich chwilowi zwycięzcy hamują gwałtownie, zaś wózek ugrzązł w olszynie nad urwiskiem. Dwójki łącznościowe mozoły się jeszcze, rozwijając przewód, nie było wiadomo, co dalej.

Ta pierwsza rozmowa telefoniczna była najtrudniejsza. Ręce drżały, wskutek początkowego zdenerwowania, brak było podziału pracy i przy telefonie majstrowało „kucharzy sześć“. A rozkaz okazał się krótki: urwiskiem wdół.

Ciarki przeszły pochyłonych nad urwiskiem: było tego, prawie pionowej ściany, 13 do 15 metrów, a w dole kamieniska, wykroty, wyrwy. Lecz mus, to zawsze dobry majster: zapędził ich wnet do roboty.

Na szczęście lin i żerdzi było dosyć. „Ósmacy“ zrobili prostą dźwignię: pięciu z nich przywarowało u końca belki, wspartej o głaz nad urwiskiem, a u drugiego końca uwieszony był na linie wózek; silnego Michała posłali nadół by, popuszczając liny, ciężar na siebie przyjmował. Ale źle to wyliczyli, jak się potem okazało.

Zaś wychowankowie Huberta poszli na sztukę

inżynieryjną. Związany przepisowo trójkąt saper-ski wsparł się podstawą mocno na poziomej belce jak na zawiasach, a potem, popuszczany na lince z wysokiego drzewa, zatoczył swym wierzchołkiem prawidłowy łuk nad urwiskiem i spoczął na podstawie przygotowanej tam przez resztę zastępu. Wiązanie trwało wprawdzie ze 20 minut (wózek „Ósemki“ był już dawno na dole, gdzie się z nim nie wiedzieć dlaczego mozolili od kwadransa), ale zato nad urwiskiem zawisł klasyczny zóraw do przenoszenia ciężarów, z którego spuszczano zwolna przez trójkę od góry, z dołu zaś kierowany linami przez pozostałych trzech, wózek zsuwał się zwolna i pewnie osiadł na wybranym miejscu, uniknąwszy wstrząsu, którego ofiarą padł wózek „Ósmaków“.

Tam obliczenie zawiodło. Kiedy bowiem ciężar przesunięto już na belce ponad przepaść, przeważał ku sobie dźwignię, choć się jej na górze uczepiło brzuchami i zębami, gdy już nóg i rąk zabrakło, pięciu pięćdziesięciokilowych chłopaków. Michał zaś na dole zaledwie zdążył swej liny z ciężarem popuścić ze sześć do ośmiu metrów i w tym momencie cały aparat z trzaskiem zwał się wdół. Wózek z pięciometrowej wysokości runął bokiem w glinę, wyginając lewe koło i, co gorsza, przeorując Michałowi bok od piersi aż po udo. Na górze zaś zwol-

niona nagle dźwignia srogie zrobiła spustoszenie wśród szcęk, napiętych mięśni, nieosłoniętych kolan tamtejszych pracowników. Nie zważając, ześlizgnęły się szybko nadół, gdzie jednak przeszło 20 minut zużyli na prostowanie scentrowanego koła i opatrunek rany Michała, która, powierzchowna wprawdzie, nie pozwoliła mu jednak na dalszy intensywny udział w biegu.

W tym czasie Czwartacy już byli przed nimi w drodze, ponad głowami zaś obu partji, wysoko ćwierkały linje przewodu telefonicznego. W czasie bowiem mozolnych prac pionierskich telefoniści odebrali rozkaz przejścia poprzez urwiska kotliny wdół i na przeciwległe zbocze, gdzie znów się połączyli z nadawcą dla otrzymania dalszych rozkazów.

Właśnie tam się irytował Roman z „Ósemki“, krzycząc coś niezrozumiale, bo zastęp na jego znaki nie odpowiadał, a już sygnalista rywalów kończył przekazywanie znakami semaforów depeszy do swoich o dalszym przebiegu trasy.

I tu zaszła nowa zwłoka, bo okazało się, że trudno ze znajomością sygnalizacji w „Ósemce“. Trzeba aż było, by się Romek biegiem puścił do nich z tekstem depeszy, co i czasu dużo zajęło i nie było całkowicie „fair“.

Zato od tej chwili zaczęli znów czas odzyskiwać. Przedewszystkiem trasa szła w górę i zdołali siłą i nawykiem do wysiłku nadrobić to, co stracili Czwartacy, którzy jako szkolarze, słabli przy wciąganiu wózka przez wertepy i wądoły. Po drugie — najbliższa przeszkoda okazała się dla nich zbawienna. Było nią ratownictwo. Gdy dobiegli, „Czwórka“ kończyła już fikcyjny opatrunek, na co wydłużyły się przewidywaniem porażki twarzy „Ósmaków“, lecz wnet miały się rozświetlić uśmiechem, bo sędzia biegowy (młodszy felczer z pułku, wiceprezes kręgu staroharców) zachował się roztropnie i sprawiedliwie, choć ryzykownie, jak rzadko: spostrzegłszy opatrunek na Michale, sprawdził jego założenie i — ścisnąwszy Michałowi dłoń — rzekł do zastępu: „No, to wy już po przeszkodzie z ratownictwa, ten opatrunek zdał za Was egzamin“.

Zdzisiek pokraśniał z dumy, bo jego to było dzieło, a zastęp jedno zrozumiał: że dzięki niespodzianej, a głęboko sprawiedlwej decyzji sędziego mają teraz szanse wyrównane z „Czwartakami“.

Chwilę trwało, a byli już przy swej stacji telefonicznej. Dalszy rozkaz brzmiał: „Drogą przez las, wzdłuż drogi szkie“.

To był przemarsz odpoczynkowy, wózek toczył się wolno. Linja telefonu też już wcześniej była prze-

ciągnięta, lecz nadawca nie przekazywał dalszego rozkazu, choć go obaj konkurencyjni telefoniści kusili słodkimi głosami. Żądał podania mu odległości, która mogła zostać obliczona tylko po wykonaniu szkicu. Miała to być odległość wzdłuż cięciwy, poprzez gąszcz i mokradła przeciągniętej między dwoma punktami drogi wijącej się wśród lasu.

Nie było to tak proste – wymierzyć na szkicu w milimetrach, przeliczyć wedle podziałki na metry, o, nie była prostą przeszkoda ani ta, ani następna, z dziedziny „mistrza do wszystkiego“, do której przytem i dostęp był fatalny, przez bagna, gdzie ustawiczne podkładanie desek pod koła wózków na 100 metrowej przestrzeni dobrze przygięło karku obu zastępom, a i na tem nie był koniec, bo trasa wiodła między olszynowy gaj, dalej zaś nad jezioro...

To też, gdy na ostatnim półkilometrze przed metą wychynęły w końcu z zarośli oba wózki w otoczeniu zziających, zgiętych od trudu chłopaków – zapadł już mrok. Szeroką, dworską drogą pędziły w tumanie kurzu obok siebie.

Szleje szarpia wstecz, palą odparzeniami na obojczykach, w butach doskwierają ułamki żwiru i kamyki, język przysycha do podniebienia, nic to: naprzód. Oczy łzawią się od kurzu. Serca walą z

hukiem – jeszcze pod górkę, jeszcze przez kałużę głębiej kostek – naprzód, naprzód, żeby chociaż o pierś – nie! równo idą oba zaprzęgi, tyle w nich tylko woli i sił, aby się nie dać wyprzedzić, na to zaś, by jeszcze dodatkowy zryw wykonać i wyrwać się ku czołu – sił już nie staje.

I tak doszli do mety. Pierś w pierś. Wyczerpani, zziajani, ale radośni, tem wspólnem i nierozzerwanem zwycięstwem – zespoleni. Zarazem jednak tembardziej zażarci do dalszych rozgrywek — zwłaszcza „Czwartacy“, którzy z drużyny wynieśli zamiłowanie do rywalizacji – i do zwycięstw. Okazało się to wieczorem, gdy jedni i drudzy rozbili biwaki.

*
* *
*

Księżyc tej nocy wyszedł na niebo ogromny. Darownie jednak świecił nad biwakiem Hubertowej gromady. Nie zaimponował nikomu, bo bractwo chrapało jak susły. A ten jedyny, który mógł srebrnego kawalera podziwiać, wartownik, – spoglądał nań, przeciwnie, z niezadowoleniem i niecierpliwie czekał, kiedy go chmury osłonią ciemnym zawojem.

Doczekał się. Wtedy wpelził do namiotu i zbudził Tarzana. Ten, choć zmorzony trudem dnia, wytrze-

źwiał natychmiast i po chwili już obaj sunęli lasem w stronę jeziora. Było teraz tak ciemno, że ścieżkę wyczuwali tylko dotykiem stóp i słuchem według chrzęstu igliwia, piasku i gałązek pod nogami. Czasem tylko była im wskazówką jaśniejsza smuga nad nimi, wśród koron drzew, gdy w szerszych miejscach sosny rozstępowały się bardziej na boki.

Nad brzegiem jeziora rozebrali się i wśród sitowia cicho wstąpili do wody. Narwawszy po pęku trzciny, przywiązali ją sobie wzdłuż grzbietów i boków. Zaczęli brnąć wglęb. Gdy zabrakło gruntu, bezszelestnie popłynęli. Dwie głowy posuwające się wśród lilji wodnej i rzęsy były prawie nie do spostrzeżenia, to też, choć po dwóstu metrach z załomu brzegu ujrzeli w pobliżu jasne stożki namiotów „ósemki“, płynęli dalej śmiało, wystrzegając się tylko wywołania plusku wody.

Wybrali zdala miejsce dobre do lądowania. Była to obrosła trawą zatoczka, nad którą rozsiadło się wzgórze, zasłaniając zapewne ognisko zastępu, bo pnie sosen poza niem czerwieniły się rdzawą barwą i dobiegał szmer głosów. Obok zatoczki, za pasmem krzewów był biwak.

Byli już na płytkiej wodzie, gdy przez krzewy zaczęła się w ich stronę przedostawać wartownik, otu-

lony kocem. Tarzan, ufny w swą niewidoczność pociągnął za sobą towarzysza tak, że hałas czyniony przez wartownika zbiegł się w jedno ze szmerem rozsuwanego tataraku i zagłuszył go. Byli już tuż przy brzegu, pogrążeni bez ruchu w przybrzeżnym błocie. Trzcina uwiązana na plecach i ramionach przydała się teraz, bo skrywała białosc ciała. Nad wodą jaśniały tylko dwa nosy i czoła oraz dłoń Tarzana, której nie zdążył cofnąć z jakiegoś wystającego nad wodą pnia.

Wartownik był tuż. Musiał zaniepokoić się widocznie poruszeniami tataraku, bo pochyłony nad wodą ułamanym kijem szukał przyczyny szmeru. Zmamiony jednak cieniami i odbłaskami wody, nie widział nic, choć schylał się wprost nad Tarzanem.

Ten zastygł, gdyż kij szukającego dosięgnął jego dłoni i poruszył ją kilkakrotnie. Urodzony kawalarz całą siłą powstrzymał się, aby nie złapać za koniec kija i ledwie nie parsknął uśmiechem, wyobraziwszy sobie zdumienie i przerażenie wartownika, gdyby się teraz, nagi, wyłonił z wody o krok przed nim. Przywarł jednak ręką do pnia, choć ostry koniec kija zdarł mu naskórek. Tem zmylił wartownika, który przestał szukać i stał nad brzegiem, oparty na kiju.

Sytuacja zaczynała być kłopotliwa, bo choć wo-

da rozgrzana była jeszcze z ciepłego dnia, jednak zimno przejmowało pływaków. Nie wytrzymałoby długiego przeczekiwania.

Lecz śmiałym szczęście sprzyja. Wartownik widocznie coś obmyślił, bo obrócił się na pięcie i szedł w górę ku niewidocznemu ognisku.

Zaryzykowali i wysunęli się z wody, by dwoma susami dopaść krzaków. Nie dosłyszał! Szczękając zębami, czekali, co dalej. Towarzysz Tarzana zdejmował z nagiego ciała szlam i dziesiątki jakiegoś robactwo, które go oblepiło. Tarzan zamienił się cały w słuch.

– Druhu, Druhu – dobiegał przenikliwy szept wartownika.

Nic, cisza. Więc znowu, już głośniej: – Druhu Staszku!

– Ładna historia. Zauważył nas i tylko, bałwan, boi się zrobić alarm. Za chwilę nas nakryją. Co zrobić? – medytował Tarzan. Ale się pomylił. Połyszał bowiem chrzęst gałęzi i głos Stacha:

– No, co?

– Druhu Staszku, pozwólcie mi pójść do ognia!

Tarzan odetchnął. Czekał odpowiedzi. Nie następowała, słychać było tylko prowadzoną szeptem rozmowę i nagle, jak sygnał ratunku i zwycięstwa dla podchodzących, głos Stacha:

– No, to już dobrze....

Nie doczekali nawet zniknięcia obu postaci – i skokami dopadli namiotów. Wsunęli się pod płótno i skostniali zaczęli szukać poomacku. Namacawszy jakieś tkaniny, zaczęli jeden drugiemu trzeć ciało do sucha i do gorącości.

Gdy nieco oprzytomnieli, Tarzan wyskoczył przed namiot, rozejrzał się i zerwał z pnia sosny umocowany tam znak zastępu „Żubrów“, pamiątkową metalową tarczę z zubrem, przechowywaną w „ósemce“ z pokolenia w pokolenie. Był to cel ich wyprawy, cenna zdobycz. Pod sercem rozszedł się przyjemny żar zwycięstwa: niedługo między ósemką a czwórką była gra nierozstrzygnięta. Od siódmej do dziesiątej – trzy godziny. A jutro, wyobrażam sobie ich miny, gdy im pokażemy „żubra“ – szeptał w ucho towarzyszowi.

Wyszukali w plecakach jakieś spodnie, swetry. Naciągnęli je na siebie i ukrywając zdobycz za pazuchę, wysunęli się z namiotów. Skusiło ich, by podkraść się ku ognisku.

Dopiero tu zdali sobie sprawę, jak byli dotąd nieostrożni. Ognisko było tuż, o kilkadziesiąt kroków. Nawet dopiero teraz spostrzegli, że wokół ognia siedziała nie tylko „ósemka“, lecz i jakieś harcerki.

Podpełzli. Ciemne sylwety harcerek, siedzących tyłem do nich, kontrastowały z płomiennymi twarzami usadowionych naprzeciw harcerzy oświetlonych blaskiem. Twarze były skupione, zapatrzone w ogień. Obok Rokickiego zauważyli starszą druhenę, widocznie drużynową.

To przecież drużna Roma – tchnął w ucho Tarzana jego towarzysz. Tarzan skinął głową. Romę znali! Była to arcyciekawa postać, o której wszyscy chłopcy choć o starszych harcerkach odzywali się wogóle z przekąsem – mówili, że jest życiowem, konkretnem zastosowaniem praktycznego i praktykującego chrześcijaństwa. Było to wiele w ich ustach. Postać Romy starczała im zresztą za całą furę kazań i napomnień.

Roma pracowała zawodowo w miejscowym sierocińcu sióstr zakonnych, lecz posada była tylko ułamkiem jej olbrzymiej aktywności. Ona to działała w schronisku noclegowem, ona była jedyną, która potrafiła dogadać się z dziećmi „rajzerów“, których całe dziesiątki przeciągały przez Pawłów, a część z nich, która z powodu chorób lub innych przyczyn nie mogła być splawiona dalej, osiadła w barakach, na samym dnie nędzy i demoralizacji. I jej dziełem – obok wielu jeszcze przedsięwzięć – była zeszłoroczna samopomoc harcerska

hufca, gdy zebrano dziesiątki ubrań, obuwia, bielizny, przekazując to rodzinom harcerzy pozbawionych podstaw egzystencji. Prowadziła drużynę starszych dziewcząt pracujących, która widocznie była z nią i obecnie.

Właśnie zaczęła mówić. Nadstawili ucha. Był to dalszy ciąg dłuższej zbiorowej gawędy. Roma mówiła językiem swoich dziewcząt i chłopców, gwarą przedmieścia, pełną zwrotów i wyrażeń zdolnych zgorzycy lingiwstę. Sprawiało to dziwne wrażenie w zestawieniu z treścią przemówienia:

...bo żebyście wy byli naprawdę pogany – perorowała Roma – to morowo, jeszcze bym to jakoś skapowała. Ot, druh Władek, zgodzić się z nim nie zgodzę, ale przyznam, że uczciwie szuka swojej drogi, chociaż poza katolicyzmem, a więc w wadliwych stronach. Ale jeśli ktoś wogóle tego nie ma, aby się zastanowić, skąd się wziął na świecie i po co, jeżeli żyje jak bydlak, narobi się, zje, idzie spać i tyle... – a wy, dziewczyny, nie śmieście się – zmieniła ton na pół-żartobliwy – bo wiecie, co mówiłyśmy, nie? – i znów zmieniła ton, wyjaśniając Rokickiemu z właściwą jej naiwną poczciwością, ale myśl ją znów nawróciła do przerwanej wątku – więc grunt, to co jakiś czas policzyć się z sobą i wierzyć, że jest nad nami Bóg, do którego przy-

blizyć się jest wielkiem szczęściem, a przybliżamy się, jeśli uświadamiamy sobie związek między Nim a naszymi postępkami. I o to mi chodzi, Druhny, i wy, Druhowie.

Ale Druhno – przerwał ktoś z chłopców – lecz głos nie dobiegł do podsłuchujących, bo dorzucono gałęzi do ognia i trzask płomieni przygłuszył mowę. Gdy ścichło, posłyszeli, że mówi Władek, o którym wspominała Roma. Znali go, półtora roku temu, po śmierci ojca musiał porzucić gimnazjum, w którym doszedł już do szóstej klasy.

...i to uważam za boskość w człowieku: ten pęd do postępowania uczciwie i szlachetnie. Prostu, kto postępuje tak albo inaczej, ten tworzy pewien poziom moralności, ot, jak Przełęcki w „Przepióreczce” Żeromskiego. On stworzył normę moralnego postępowania, z którą każdy się będzie liczył, bo za nim stoi jego czyn i jego ofiara, a nie tylko słowa... I to jest jego nieśmiertelność, która jest możliwa do osiągnięcia przez każdego z nas...

Znów trzask zgłuszył słowa. Potem Władek przestał mówić. Słyszać było, że któryś z chłopców niezdarnie duka swoje widzimisię, po nim znów inny. Mówiła i jedna z dziewcząt.

Z melodji głosu, z ogólnej atmosfery gawędy

wiało ku podsłuchującym coś niezwykłego. Tarzan, który pod gorylowatą powierzchownością nosił czującą duszę – wyczuł, że się tu coś ważnego rodzi z zetknięcia chłopaków z wysubtelnionymi przez ognisko i jego nastrój dziewczętami, a zwłaszcza z żarliwym jestestwem druhny Romy. Wytwarza się w gromadzie Stacha potrzeba najważniejsza, tkwiąca w samej istocie harcerstwa: potrzeba pracy nad sobą, uświadamiiania sobie tego procesu, szukania odpowiedzi na najwyższe zagadki życia.

Znudzony długim oczekiwaniem – towarzysz Tarzana podczołgał się i pociągnął go za rękaw. Wycofali się ku namiotom. W miarę, jak ognisko oddalało się od nich, dolatywać ich zaczął śpiew.

*... w harcerskiem kole, jak w orłowym locie
pnie się mocarny, niespożyty duch.
W serc tajaniu i myśli spólnocie
okrzyk zapalu uderza o słuch...*

Gdy byli znów na biwaku, Tarzan zrobił to, czego później żaden z chłopców „Czwórki“ zrozumieć i darować mu nie mógł. Wyjął z za pazuchy zdobycz i powiesił ją na poprzednim miejscu. Jego towarzysz zdumiał się, ale nie śmiał oponować, gdy Tarzan swoim bezapelacyjnym głosem oświadczył:

– Zrobilibyśmy świństwo, gdybyśmy im to nawalili w tym czasie, gdy oni tam coś w rodzaju zbiorowego rachunku sumienia mają. Ten wartownik na to nie zasłużył...

Mówiłby i więcej bo był podminowany wewnętrznie, ale nie było do kogo gadać, kandydat na rozmówcę wlaź pod cztery koce wraz z głową i objawił niezłamaną wolę rozgrzania się po nocnej kąpieli i godzinie bezruchu. Skusiło to i Tarzana.

Nic dziwnego, że po pięciu minutach spali na potęgę. Zbudziły ich dopiero głosy powracających prawych lokatorów namiotu i właścicieli ubrań i koców. Byli jednak zbyt senni, aby zaobserwować spekszone na widok gości miny „ósmaków“ i stwierdzić, że choć zwracając znak „Żubrów“ wyrzekli się u-pragnionej przedtem zdobyczy, osiągnęli co innego: uznanie dla siebie.–

Bo Michał podszedł do oznaki „żubra“, rozpoznał, że była zdejmowana i z powrotem zawieszona, pokręcił głową i rzekł:

– No, no! żeby się dostać aż tu i nie zabrać „żubra“. To tylko druhna Roma potrafiłaby...

RUSZAJĄ TRYBY MASZYNY

Pieśń huczała potężnie, aż sala szkolna wydawać się zaczęła nie tem, czem była w istocie, lecz jakimś przybytkiem młodości, świątynią wzniosłej siły, która brała serca w górę i kazała im prężyć się w oczekiwaniu na coś, co nadejdzie.

Huczał nad głowami śpiew o zdobywaniu gór, o pionierach-orłach, których „potrzeba na lot“, podniecała Marsyljanka śpiewana po polsku, krzepiła pieśń o Żelaznym Skaucie – własnego układu hymn Czarnego Zawiszy.

Dziwną ma w sobie siłę pieśń poważna, zdobywczą, ideową. Dzięki niej to wypowiesz, na co nie zdobyłbyś się własnymi słowami, to w sobie wzniesisz, czego nawet głębokie zamyślenie ani czyjaś przemowa wydobyć z ciebie nie zdoła, pieśń zespała cię z towarzyszami i ustawia we wspólny front wobec reszty świata, a że głośna jest i szeroko do ludzkich uszu dociera, przeto stanowi akt propa-

gandy twoich prawd, brzmi jak hasło, ale też i jak twoje zobowiązanie, że spełnisz to, co w pieśni śpiewasz.

Zanim się zbiórka zaczęła, Tarzan ze swoimi rozpełtał tę burzę śpiewną, a w krąg jej uroku i w dziwny jej czar dostawał się raz po raz ktoś nowy, kierowany tu wprost od głównego wejścia przez Adama, który rozdzielał: młodszych na osobną zbiórkę w sali rekreacyjnej, starszych zaś tu, do świetlicy. Dzielił zaś nie według wieku i klas, ale na podstawie listy przygotowanej zawczasu przez Radę Drużyny według wyczucia, kto nadaje się jeszcze do młodszych, komu zaś przejść do starszych wypadnie. Przeważnie od IV klasy (nowego typu) zaczynali się „starsi“, ale po kilku bardziej rozwiniętych sięgnięto i do trzeciej. Zresztą dowiedzieli się wkrótce, że nikogo się nie zmusza, kto chce, może powrócić do młodszych.

Znaleźli się tacy, bo choć słowo „starsi“ jest nęcące, jednak niektórzy ze stojących na pograniczu wieku wymiarkowali ze słów, mówionych podczas pierwszej zbiórki, że nie dla nich będzie ta nowa praca, że wolą to, co dotychczas. I wycofali się.

To omawianie przyszłej pracy nastąpiło jednak nie na samym początku zbiórki.

Początek zaś był niezwykle w pewnym momen-

cie bowiem, gdy przycichł na chwilę rytm śpiewu, poruszenie się zrobiło na korytarzu i w tej samej chwili wszyscy, jakby radjową falą rozkazodawczą ogarnięci, bez komendy zamilkli i nagle – zobaczyli siebie stojących w szeregu. Jak się to stało, nikt nie zdążył zdać sobie sprawy, bo z owego poruszenia – wciąż w tych samych paru sekundach – wynikł poczet, wiodąc nad głowami sztandar Drużyny, a spontanicznie wyciągnięty front, zastygły na moment, wybuchł hymnem, jak bojowym okrzykiem, od którego poczuli się wszyscy jednością:

*Błękitna Czwórka nie boi się burzy,
nie straszna jej walka ni trud...*

*...wpatrzeni w swą przyszłość lawiną pójdziemy,
braterstwem zwiążemy ten świat...*

Lewoskrzydłowy, Zbych, który tę zbiórkę później do kroniki wciągnął i dzielił się z kolegami swem wrażeniem (skarżąc się, że nie umie go słowami oddać), powiadał, że widział wyraźnie, iż wydanie i wykonanie poszczególnych komend dokonywało się jednocześnie, kto wie, czy wykonanie nie wcześniej niż rozkaz. „Tak muszą ustawiać się w szyk podchorążowie“ – zrobił porównanie, mając

na myśli, że na pewnym poziomie zbiorowego „morale” i wyszkolenia – samorząd i karność, inicjatywa grupy i przywódca zlewają się w jedno.

Tak się dokonała owa dziwna magia, przez którą grupa przywódców ogarnęła władztwem swego dynamizmu całą gromadę. Iskra elektryczna bowiem, ujawniona w owym jednoczesnym u wszystkich pragnieniu – odruchu: stać się jednolitą całością, – a wywołana udanym eksperymentem spółki Adam-Tarzan: jak gromada zachowa się na widok niespodzianie, jednak w odpowiednim nastroju wprowadzonego przed jej oblicze sztandaru – znaku ich jedności? ta iskra elektryczna wstrząsnęła wszystkich: zrywem do czynu, do ruchu, do zbiorowej aktywności.

Od tego zdarzenia zbiórka potoczyła się po linii już zdecydowanej.

Adam jako komendant nowopowstałej grupy starszych ogłosił w asystencji Huberta wyniki ankiety, spisanej przy apelowych ogniskach. Powołując się na nią, oznajmił, że pragnie pluton uważać za grupę Przodowniczą wśród otoczenia i że to wytycza plan ich działania, który następnie szerzej rozwinął, stale odwołując się do ankiety i licznych rozmów. Wśród zapytań odparł, między innymi, że słowa „przodowniczy, przodownik” nie uważa za oficjalne

nazwy plutonu i jego członków, lecz że mimo to ich samych uważa za Harcerzy-Przodowników i jasną jest tego konsekwencja.

Konsekwencja nie była chłopcom tak bardzo jasna, to też gdy już wolno było pytać i dyskutować, podniosła się wrzawa. Pytano o wszystko. Począwszy od szczegółów organizacyjnych i technicznych.

– Czy spodnie krótkie się zniesie, bo w „ósemce” przechodzą na bryczesy?

– nie!

czy naszywki, które spostrzegają u Adama na rękawie – to nowe odznaki „starszych”?

– tak!

czy utworzyli coś nakształt nowej drużyny i już nie są pod wodzą Huberta?

– nie! utworzyli Grupę w ramach drużyny!

– czy będzie osobna Rada Plutonu?

– tak!

– czy zastępowi i funkcyjni obieralni?

– tak!

– czy liceum utworzy nową drużynę?

– nie! „liceusze” będą u nas!

– czy funkcyjni z młodszej Drużyny muszą należeć do plutonu?

– o ile możliwe, tak!

– czy wolno będzie być zastępowym w innej dru-

żynie np. w szkole powszechnej, i jednocześnie pracować w tej grupie?

– tak!

Przyczem na niektóre pytania odpowiadał Adam bądź Hubert sam zdecydowanie, w innych, np: odznak, nazw, munduru zapowiadał porozumienie się z władzami. Wreszcie po zaspokojeniu pierwszej ciekawości zaniepokojono się o ową konsekwencję z faktu, że są Harcerzami-Przodownikami.

Nie była to dyskusja, nie było też precyzowanie i konkretyzowanie planu pracy zgłoszonego przez Adama. Program bowiem był jasno wytyczony punktami stopnia „przodownika“ jako plan rozwoju każdego z harcerzy i przyjmowali go po pewnych zmianach, a jako zamierzenia całości ujął go Adam tak, jak swego czasu Hubert w nocnej rozmowie ze Stachem Rokickim w izbie ich drużyny, a tylko uzupełnił projektem nawiązania bliższej znajomości z drużyną Druhen z seminarjum. Wiadomościem było, że chłopcy na to się godzą, bo tak przecież wypadła ankieta.

A jednak czekała ich niespodzianka. Wynikła ona po nieudanej, choć słodkiej i gładkiej deklaracji Zbyszka Piątaka. Gładko i słodko zaczął wywodzić jak to wszyscy powinni się przejąć tem

przodownictwem, że ojczyzna i obywatelstwo i podciągajmy wzwyż...

Marszałek Śmigły na ścianie uśmiechał się grzecznie ale ironicznie i niewiadomo czy pod wpływem tego uśmiechu, czy z własnego impulsu – szarpnął się na ławie raz i drugi Mietek Rąbiel i wreszcie – jak nie huknie na całą salę pod adresem elokwentnego Zbigniewa.:

– Ależ ten cymbał niewiele zrozumiał!

To się nazywa włożyć kij w mrowisko! Zakotłowało się! Zbych oczywiście, obraził się, zerwali się obrońcy i przytakiwacze. Próbowano złagodzić sytuację, zwłaszcza, że motywy wysuwane chaotycznie przez Rąbiela zatracąły, o zgrozo, o politykę i inne „takie rzeczy“, na których „my się nie znamy“ (jęczał pojednawczo „Stasiuniu“), jednak Hub i Adam nie wkroczyli w sprawę, ciekawi, co z tej wrzawy wyniknie.

Mietkiem rządziło poruszone do głębi uczucie. Wskazując palcem na portret Rydza (który Ojcu jego, oficerowi Legionów, zmarłemu tragicznie, wodziwał, a dla Mietka był jakgdyby drugim wcieleniem Komendanta, choć zarazem niepokojącym, zagadkowym Sfinksem), usiłował wykrztusić z siebie, że jeśli Ten i Jego towarzysze broni zdołali się wówczas zdobyć na czyn, to tylko dzięki temu, że

ekliwe patryjotyczne deklamacje odrzucili precz, Polskę mieli w sercu, uznali się właśnie za grupę Przodowniczą i robili, robili coś realnego, co ich wprost musiało doprowadzić do Polski... A my, tu, w tej samej myśli, jako grupa mająca przodować, mamy wysłuchiwać dyrdymalek, podczas gdy Polska, jak wówczas czekała na ludzi zdolnych dać jej niepodległość, tak teraz oczekuje zdolnych dać jej potęgę, mocarstwowość, umocnienie granic!

Zygmunt Pakoszcz w obronie Piątaaka zauważył zimno, że wprawdzie w tem, co Mietek powiedział, jest dużo uczucia, ale zato nie ma nic konkretnego. Legjony i ich sprawa była, ale już dawno minęła, a teraz jest dzisiejsza Polska. Możeby druh Rąbiel wymienił, jakie problemy uważa za wiodące do mocarstwowości. On Zygmunt, ze swej strony widzi taki problem, ale – tu z przekąsem uklonił się, siedząc, Adamowi – nie spodziewa się, by nowy Druh Komendant zgodził się na podjęcie jego realizacji, aczkolwiek...

– A nie spodziewaj się, rzeczywiście – palnął Adam, który znał antyżydowskiego konika całej rodziny Zygmunta, wiedział, że ma swe nieświadome źródło w ekonomicznym położeniu Pakoszczów, gdyż od całych lat trwali, jako pawłowscy dostawcy mydła i szczotek w konkurencyjnej walce z firmą

Rosenberga, a nie popierał tego stanowiska, bo leżało na linii najmniejszego oporu, usiłując częściowo odwoływaniem się do nienawiści rasowej, częściowo zaś wzywaniem uczuć chrześcijańskich – pod pięknymi nazwami stworzyć front zwolenników mydła i szczotek kupowanych u Pakoszcza, front wprawdzie mydło mający w herbie, ale zgoła wojowniczo nastawiony. Nigdy zaś tego od nich nie słyszał, by zaproponowali jakieś pozytywne, dalej sięgające i mniej związane z egoizmem jednostek, a zato twórcze rozwiązanie. Chociaż więc sam się skłaniał w tym kierunku, aby coś robić w tej sprawie, jednak, póki była nie po harcersku stawiona, nie mógł oczywiście, zgodzić się na ową, nieuchwytną zresztą i trochę podejrzaną realizację.

Znalazł zresztą aprobatę chłopców. Cisnęli się do głosu, sprowokowani wystąpieniem Rąbiela. W ich wypowiedziach szumiało Gdynią i Porąbką, Śląskiem i Polesiem, brakami motoryzacji i – poprawą w pięknym parku ludowym Pawłowa. Skakali z tematu na temat, wysupływali swe wiadomości o Polsce żywej, dorabiającej się i wciąż jeszcze wymagającej postępu, a postęp ten ujmowali bardzo idealnie, jako wzrost dorobku materialnego, podnoszenie się kultury obyczajów, dźwiganie się obywatela ku ideałowi „dżentelmena angielskiego o pol-

skiej rogatej duszy”, jak dość mgliście choć poetycznie wyraził się Gieniek. Nędza wsi, sprawa robotnicza, trudności ukraińskie, rozdźwięk między rządem a społeczeństwem – to było, wiedzieli o tem, ale tego nie czuli. To było na marginesie ich zainteresowań. Natomiast między sobą a tamtymi, pionierskimi problemami, owem urządzaniem się Polski w pełnym braków mieszkaniu – przeczuwali jakąś łączność, pomost, po którym możliwem będzie się posunąć bodaj o krok naprzód.

Jednak obecna rozmowa nie wskazała im tego pierwszego kroku. Mieli go postawić już niezadługo, w nieprzewidzianych warunkach i miał ich kosztować wiele samozaparcia, walki, przykrości. Do tego zaś czasu leżała przed nimi droga doświadczeń, prób natrafienia na właściwy trop poszukiwań.

Z tem wrażeniem rozchodzili się wszyscy. Z niem również zeszli się tegoż samego dnia wieczorem w tem, co miało odtąd być izbą plutonu, a dotychczas – ciemny niski schowek nad bramą do „budy” – służyło do przechowywania sprzętu drużyny.

Cała prawie paka zebrała się, hucząc kawałami lub szemrząc rozmowami po kątach na temat przyszłych planów, czekano na Adama. Niedługo, bo wnet zastukał po schodach jego charakterystyczny krok. Wpadł do izby, lecz zauważywszy na otwar-

tych drzwiach tabliczkę – zatrzymał się w progu i odcyfrował napis:

„Gdy tu wchodzisz – szarżę zostaw za drzwiami”
Roześmiał się – jemu to napomnienie nie było potrzebne. Umiał doskonale rozróżniać „służbę” od „poza służbą”.

Takich napisów było w izbie więcej. Między oknami wymalowano kredą prostokąt z napisem: „Tu miejsce na tablicę pamiątkową ku czci wielkiego mówcy Zbigniewa Piąta”. Na kafłowym piecu zaś wyrysowane były kolejne przeszkody z biegu wózków, pod ogólnym tytułem: „Genjalne rozwiązanie motoryzacji kraju przez p. Huberta S.”; centralną ilustracją był zjazd wózków z urwiska. Nad drzwiami zaś szeroki napis głosił maksymę: „nie krzycz Hub póki rowu nie przeskoczysz”, obok na rysunku Hubert skakał przez wyżłobienie, w którym płonęło ognisko z dopiskiem: „słomiany ogień”.

W tej atmosferze szumiało bractwo aż do późnego wieczora. Uchwalono rezolucję: „precz z dyktaturą mebli nad ludźmi! Nie my dla półki tylko półka dla nas”, w myśl której miano nie peszyć się pustką na wielkich półkach i zapełniać je tylko „wartościową zawartością”. Na bibliotekarza, „pana na trzech półkach” zgłosił się, oczywiście, Ru-

ru-Mól książkowy. Zbyszek Piątek przysłał przez braciszka kronikę, zrzekając się jej prowadzenia; odesłali mu ją z piękną laurką. Pozatem Konrad z dwoma jeszcze naiwnymi wyzwał wszech wobec na Sąd Boży, kto piękniej od nich ozdobi nową izbę. Sensacją dnia jednak stało się, iż do Adama przystąpili we dwójkę – kto?: Mietek Rąbiel i Zygmunt Pakoszcz i oświadczyli, że jeżeli w planie pracy jest przewidziana praca realizacyjna (jak się takie coś nazywa np. w „Straży Przedniej”), to oni zgłaszają się na ten dział pracy jako organizatorzy. Trącając się łokciami i szelmowsko mrugając okiem, zapewniali, że mają już upatrzoną pracę, na której wybór obaj zgodzili się, mimo że są jak ogień i woda; nie chcieli jednak przed czasem zdradzić, jaką.

Tarzan zaś ze swoimi knuł najwidoczniej jakąś tajemniczą niespodziankę, bo żaden z nich ani piśnął, gdy inni tak ofiarnie zgłaszali swe udziały.

*

*

*

Hubert z Adamem od dwóch już godzin biedzili się nad opracowaniem „zamierzeń drużyny”. Wtem zastukano do drzwi i ukazał się zasapany Stach Ro-

kicki. Podał Hubertowi zwitek papierów i przepaszając za pośpiech znikł za drzwiami.

Zaciekawieni odczytali kartkę uczeptioną z wierzchu. Rokicki donosił, że ma teraz dyżury na poczcie i nie może przyjść na umówioną rozmowę, a ponieważ nie chciałby, aby się urwało stałe porozumienie między nimi, przysłała swoje zapiski, z których Hubert dowie się, jak się rozwija organizacja pracy „Ósemki”.

10 września.

Będą cztery zastępy. Zastępowi: Wacek, Zdzisiek i ów Władek, który wypłynął w zlepkowym zastępie. Zastęp „Weteranów” poprowadzę sam.

Mam kłopot ze specjalnością zastępów. Zainteresowania i uzdolnienia wszystkich w zastępie nie pasują do specjalności zastępu. A znów podzielić na zastępy według zainteresowań nie mogę – bo tradycje macierzystych drużyn..

12 września.

Dziś spisałem pakt z zainteresowanymi drużynowymi moich chłopaków. Ułożono wszystko zgóry na cały rok. Choinka odbywa się u nas, na „Jajko” zaś wielkanocne – rozchodzą się do macierzystych drużyn. Każda czwarta niedziela w miesiącu – dla nich. Imprezy zarobkowe podzielone według kalendarza, aby jedni drugim nie wyrywali sprzedaw-

ców i wykonawców w osobach naszych chłopców. I „tajny paragraf”, a jakże: póki nie będę pewny, że mój eksperyment udany – będę się starał nie palić mostów za chłopakami, by w razie plajty „ósemki” mogli wrócić do swych drużyn. Ten paragraf trochę nieprzyjemny, ale rozumiem ich: tyle prób nieudanych...

No, i najlepsze zakończenie paktu: wraz z zastępami przechodzi do nas część ekwipunku. 8 P. D. H. im Stefana Żeromskiego stała się właścicielem namiociku alpejskiego, 2 płacht p. w., kociołka i – słuchajcie, słuchajcie! maszyny do posrebrzenia przedmiotów srebrnych.

Tem ostatniem zaimponowaliśmy sami sobie najbardziej. Gdyby było jeszcze co posrebrzać, byliśmy już naprawdę szczęśliwi. Swoją drogą, skąd się takie cudactwa biorą w drużynach?

15 września.

Co za pomysł mi dziś przyniesiono! Zdzich Wypych, któremu do rąk wpadła doskonała książka Grodeckiej, „Rzeka”, zapalił się do niej strasznie. Autorka całą drużynę nazwała Rzeką, poszczególne zastępy: Brzegi, Woda, Kamienie itd. Wśród np. Kamieni każda z dziewcząt obrała sobie inny: Granit, Piaskowiec, Kredę i t. d. i symbolizując ich zna-

miennymi cechami swoje cechy charakteru, starała się udoskonalać. Np. Kreda przewyciężała w sobie skłonność do nasiąkania zewnętrznymi nastrojami jak wilgocią, Granit – swą nieprzystępność i ostrość, a zato udoskonalał moc – siłę woli.

Otóż Zdzicho – rada w radę ze swoimi – wymyślił, żeby u nas podobnie. Ale nie żadna rzeka i kamienie, bo to dobre dla dziewcząt i „nieuświadomionych” (ho, ho,) – tylko żeby drużyna nazwała się „Wiec”. Drużyna „Wiec” a zastępy: Socjaliści, „Narodowcy”, Ludowcy, i „Sanacja”. Socjaliści zajmowałiby się najwięcej sprawami społecznymi, uświadomieniem socjalnym całej drużyny. „Narodowcy” – których potraktował bardzo szlachetnie, prowadziliby warsztat rzemieślniczy (narciarski), że to aby mieć polski przemysł, handel, rzemiosło, trzeba umieć. Ludowcy prowadziliby „otwieranie oczu” na wsi, dni pracy na roli i współpracę z młodzieżą wiejską. A Sanacji Zdzicho proponuje prowadzenie handlowej spółdzielni drużyny (znaczy: zjednoczenie i praca organiczna). Pośrednictwo w zaopatrywaniu drużyn w mundury i sprzęt polowy. Ponadto, że to wielu z naszych nie ma pracy, więc Sanatorzy mogliby wyrabiać posady, gdyż stryj jednego z upatrzonych do tego zastępu jest sąsiadem takiego co pracuje w Funduszu Pracy, więc popar-

cie jak znalazł. I mogłoby być z tego w przyszłości coś w rodzaju poradni zawodowej.

Dotychczas nie mogę rozgryźć, czy on sobie żartował, czy serjo to podał. Ale obmyślił wszystko ze szczegółami, bo i dalej mi klarował, że każdy zastęp zwalczałby zbiorowo wady. Socjaliści – wywodził – nieumiejętność decydowania się, Narodowcy – warcholstwo, Ludowcy – klótnictwo, Sanatorzy – zarozumiałość.

Boże, co za wysiłki robiłem, aby nie ryknąć śmiechem, kiedy mi to wykladał. Co za mina jego, gdy mi z całą powagą dowodził a propos spółdzielni, że niejeden koc mógłby zostać w ten sposób sprzedany gdzieś daleko na kresy za tanie pieniądze, bo tu u nas rynek zapchany, podaż wielka, a popyt niebardzo, a może tam potrzebują. Nie mogłem – bo chociaż jego przemyślenie bardzo ciekawe, jednak ujęcie i analogje z nieprawdziwego zdarzenia...

14 września.

Uff, klamka zapadła. Zdecydowałem się. Trzeba już było przeciąć nieustanne narady.

Chłopcy, skoro poczuli się wyodrębnieni w osobny, samodzielny ruch, stale żądali, aby to uzewnętrznić. Ale wciąż były spory o szczegóły techniczne. I wreszcie się zdecydowałem.

Będzie osobna nazwa i osobny mundur. Wysłałem przez Komendę Hufca wnioszek do władz harcerskich z prośbą o zatwierdzenie.

Nazwa – do uznania: Harcerski ośrodek pionierski w Pawłowie, albo: 8 Pawłowska Drużyna Harcerzy-Pionierów względnie: Harcerzy-Przodowników. Oczywiście imienia Stefana Żeromskiego.

Mundur (jeśli nie w czasie służby w polu): spodnie bryczesy, kurtka (a la frencz) z drelichu, na rękawie granatowa lilja, na krzyżu oznaczenie stopni nie srebrną lub złotą lilijką, lecz kolorową podkładką. Dla stopnia przodownika-granatową.

Dopóki nie przyjdzie od władz zatwierdzenie, nie będę tego wprowadzał w życie. Ale już widzę, jak mię chłopcy będą naciskali.

Ale najwięcej się boję... Huberta. Jak on wybaczy mi te spodnie bryczesowe?

16 września.

Kiedyż nareszcie minie ten rozgadany wrzesień? Wciąż się dyskutuje, coraz jakieś projekty. Wczoraj musiałem rozgryźć znowu dwie ważne sprawy.

Sprawa „klubów według zainteresowań” właściwie sama mi się rozwiązała. Przyszedłem do izby – miały być zebrania zastępów. A tymczasem – mie-

szanina. Na boisku przy „siatce” – trochę Mikrusów, dwaj Weterani i jeden z Kadry. W izbie, w kącie Władek, znów nie ze swym zastępem, tylko z mieszaniną – sprawy wystawy, projekty i spory. A przy stole znów jakaś paczka – głośno czytają jakieś sztuczdyło, które chcieliby zagrać. No, i wreszcie część łązikuje. Już miałem się rozeźlić, ale mi wytłumaczyli, że to ich wynalazek: „kluby według zainteresowań”. Obok zebrań zastępów będą się zbierali w takich grupach, żeby wszyscy mieli wspólne nastawienie, dzięki czemu będą mogli obrać wspólny cel pracy i wykonać upatrzone przez siebie zadanie.

I zgodziłem się. Udaje się w Ymce, czemuż nie miałoby się udać u nas. A zato nie zgodziłem się na „gniazdo”. Samą myśl bardzo uznaję: silna drużyna pozaszkolna starszych chłopców, ze dwie drużyny młodsze w szkołach powszechnych i gromady zuchów – wszystko to razem tworzy gniazdo. Uczeń kończący szkołę powszechną nie zrywa więzów z dotychczasowym środowiskiem, bo wprawdzie przechodzi do drużyny starszej, ale pozostaje nadal w gnieździe, które utrzymuje łączność między swymi członkami. Ale my jeszcze do tego nie dorosliśmy, powinniśmy tylko żeglować w tę stronę.

A zresztą jesteśmy na drodze ku gniazdu: prze-

cież nasza drużyna stanowi zlepek starszych chłopców kilku odrębnych drużyn. Przez to jest jakgdyby nadbudówką dla tych drużyn, ich dalszym ciągiem.

17 września.

„Kadra” to w gruncie rzeczy podstawa naszej drużyny. Jeśli nie liczyć moich „Weteranów”. Reszta bowiem – to chłopcy dla których drużyna starszych nie może być jedynym lub najważniejszym zainteresowaniem; prowadzą przecież zastępy w swych drużynach, lub pełnią inne funkcje. To rozdzielenie nie wychodzi na dobre.

A trudno pracować z tą „Kadrą”, bo każdy tydzień jest nowy. Potrochu przesuwają się program od skautowo-indjańskiego – do specjalizowania się, do pracy samokształceniowej, do demokratyczności w prowadzeniu roboty. Ale trzeba z tem być bardzo ostrożnym.

18 września.

Dziś w naszym miesięczniku trafiłem na dwa projekty. Niestety wciąż jeszcze projekty, zamiary, co by było, gdyby było... Ale mimo to ciekawe i ważne.

Projekty te dotyczą przysposobienia wojskowego w naszych szeregach. Ciekawe, że one pokrywają

się z tem, o czem chłopcy mówią i czego żądają. Mianowicie, – by niektóre nasze sprawności i stopnie uznać za wystarczające przygotowanie do otrzymania stopni P. W. Nasze ćwiczenia są ćwiczeniami skautowemi. Na wypadek, gdyby katastrofy wojny nie udało się odwrócić, dają hart ducha, o który chodzi najwięcej oraz wyrobienie, a nie są jedynie pustą i formalną żołnierką, głębiej biorą treść niż formę.

A druga rzecz – to jakby to, czego szukaliśmy z naszymi chłopcami. Owa osławiona „siła i lotność” czyli: dochodzenie do praktycznego i społecznego rozumienia naszej ideologii poto, aby ją nazewnątrz propagować i pociągać za nią młodzież. Oto program wystawy o „Pracy człowieka w Polsce”, przepisuję go dla pamięci. Powrócę do niego na jednym z najbliższych zebrań Rady. Tak, na to rzucimy się całą parą.

NAPRZÓD. DO PRACY, PIONIERZY, CHWYTAJMY ŁOPATĘ I MŁOT!...

Tarzan rzeczywiście zrobił się tajemniczy. Nie pokazywał się w izbie, unikał kolegów, zaprzestał swych kawałów. On i jego paczka znikali na całe popołudnia i „Wilki” nie mogły dokładnie wytropić, dokąd chodzą.

Widziano Tarzana dwa razy, jak wychodził z Magistratu. Pytany o to udawał zdziwionego i wykręcał się od odpowiedzi. Pewnego popołudnia zaś do Kozłowskiego wpadł, jak do pożaru, jeden z jego harcerzy, wołając: – Hubert i Tarzan z jakimś facetami pojechali autem! – Stwierdzono też, że zastęp prawie każdego popołudnia schodzi się pod bramą fabryki „Grom”, na której ogromnych terenach niedostępnych, bo strzeżonych przez dozorców – znika.

Nie byłby jednak Pawłów Pawłowem, gdyby wynikłej sensacji nie otoczył wszechwiedzącą plotką.

Plotka brzmiała jednak niewiarogodnie. Pewien brzdąc z II klasy, syn technika z „Gromu” przysięgał się, że widział, będąc u ojca w fabryce, jak „Orły” na drabinkach zdierali siatkę drucianą z ogrodzenia terenów nieczynnej części fabryki. Nikt w to jednak nie wierzył, bo to nie miało sensu.

Aż w ostatnim dniu września bomba wybuchła. Cały pluton dostał od „Orłów” zaproszenie na ognisko pod Jedyńą Sosną. Miejsce ogniska znamionowało, że będzie coś ważnego. Tam bowiem, prawnem tradycji, schodziła się „Czwórka” na najważniejsze swe przeżycia, narady, obrzędy. Dość powiedzieć, że pod Jedyńą Sosną, nie gdzieindziej, nadane były ongiś miana puszczańskie Wodzowi Takwi, Prostej Strzale, Tarzanowi, Łbowi Do Interesów i innym członkom Kręgu Puszczy. To też schodzono się w nastroju pełnym emocji.

Ognisko rozpalili Hubert, a po prześpiewaniu pieśni udzielił głosu Tarzanowi. Ten odezwał się, lecz tylko bardzo niewiele uchylił rąbka zasłony pokrywającej tajemnicę „Orłów”.

– Na pierwszej zbiórce w tym roku jeden z naszych wpadł na pewien pomysł. Był to tak dobry projekt i tak ważna rzecz, że postanowiliśmy, Orły, wszystko inne zaniedbać, a tylko temu się poświęcić, póki nie spełnimy zamiaru. Już mamy dużo po-

sunięte naprzód, ale to dopiero początek. I przekonaliśmy się, że sami nie damy rady, tu potrzeba dużej gromady. Całej drużyny, a może jeszcze więcej. Jaki to zamiar, skąd się wziął i wogóle, powie Stefan, od którego się wszystko zaczęło.

– Mów, Stefan – udzielił głosu Hubert – i opowiedz od samego początku.

– Pamiętacie może – zaczął Stefan Rybicki, a czuć było, że głos mu drży z przejęcia – że zeszłej zimy byłem trzy tygodnie w szpitalu.

Szmer przy ogniu dał do poznania, że przypominają to sobie.

– Otóż, gdy leżałem, do tego samego pokoju wniesiono ofiarę wypadku samochodowego. Prześliczny chłopczyk o jasnych włosach. Auto zdruzgotało mu jedną nogę, a druga wisiała na włosku. Miano ją amputować. Po godzinie nadbiegł zawiadomiony ojciec, potem matka, oboje wyrobnicy. Byli cały dzień przy pracy, dziecko biegало samopas i w tym czasie wpadło pod koła. Ojciec zabiegał koło maleństwa (był to jednak), pytał pielęgniarki; pobiegł do naczelnego doktora. A matka stanęła z rękoma splecionymi pod brodą nad dzieckiem i przez całe godziny nie poruszyła się ani o krok. Wiecie, kobieta kiedy płacze, zawodzi, to budzi współczucie. Ale jeśli tak zastygnie... Wierście mi,

to było straszne! Mały rzucał się, bredził, wołał matki, żalił się – trwało to ze trzy godziny. Potem scichł. Nie umiałem, do dziś nie umiem uwierzyć, że tak na oczach wszystkich, w obliczu ich bezradności dokonało się to okrutne. „Umarł synek maleńki, umarł w samo południe” – przytoczył z wiersza Tuwima. – Zresztą, szczęście dla niego. Cóżby taki nędzarsz bez dwóch nóg począł na świecie?

Zamilkł na chwilę, a w kręgu siedzących nikt się nie poruszył. Nagle głos Stefana wzmógł się na sile:

– Wtedy sobie przysiągłem, że wszystkie swoje siły na to obrócę, aby przyczynić się do chronienia dzieci od tego, co spotkało tamto maleństwo.

– Myślałem o tem całemi miesiącami, śmieję się ze mnie, ale mam plan całego życia ułożony. Chciałem jednak zacząć choć część już teraz. Pamiętacie ten plac przy zbiegu szos od Łodzi i Michałowa?

– Tam przy Małpim Gaju – przypomniał ktoś.

– O, tam. Słuchajcie! – głos Stefana brzmiał wołą i energią. – Tam powstanie skwer do zabaw dla dzieci! Otoczony wysokim płotem, obsiany trawą, zaopatrzony w przyrządy do zabaw i gier. A wiecie, kto to zrobi?

Zebrani przeczuwali już, lecz nie odezwał się nikt.

– My! – huknął Stefan. My! – zabrzmiały wraz z nim głosy Tarzana, Miśka, Zygmunta i wszystkich „Orłów”. My! – dołączyli się pozostali, z początku niepewnie, potem z przekonaniem; wśród nich, zażenowani nieco, Pakoszcz i Rąbiel.

– Siatkę drucianą na ogrodzenie już mamy!

– A nie mówiłem! – pisnął ów syn technika, który tę wiadomość swego czasu zdobył i, nie wiadomo skąd, znowu się tu znalazł.

– Jest też zgoda Magistratu na takie wykorzystanie placu – potwierdził Hubert – i obietnica Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, że jeśli my zaczniemy, to te Panie pomogą zebrać grosze na urządzenie.

– Tartak brzeziński da może drzewo.

– Mój ojciec napewno ofiaruje tablicę z napisem – zgłosił się „Modelski i Syn, zakład malarski”, jak nazywano chudego Wicka z „Wilków”.

Zaszumiało. Mówili jedni przez drugich, jedni się entuzjasmowali, drugich przekonywano; pytano o różne rzeczy Stefana, Tarzana, brzdąc z II-ej przechwalał się, że on się wszystkiego domyślał. Jednak Hubert uciał gadaninę.

– Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, jak trudna to impreza. Trzeba zniwelować teren, wykopać doły pod słupy ogrodzenia, zrobić drabinki i urzą-

dzenia do zabaw, ustawić je, zagospodarować skwer – to wszystko my, naszymi rękami. Pozatem trzeba zarobić około sześciuset złotych na opłatę furmanek i robotników do tych prac, gdzie trzeba fachowców oraz na niezbędne zakupy. Czy będziecie zdolni do takiej roboty?

Byli zdolni. Napewno byli zdolni. Kto kręcił głową, tego zakrzyczeli. Ledwie się zgodzili nawet, aby wciągnąć w to jeszcze starsze zastępy innych drużyn.

Stefek słuchał i był pełen wewnętrznej radości. Jednak, wyczuwał to wyraźnie, samym spodem rzeki uczuć, która przezeń przepływała, nurtował jakiś zimny prąd, który niósł z sobą dreszczyk niepokoju, obawę, czy to nie słomiany ogień. Otrząsnął się. – Oni – najwyżej tylko oni mogą zapalić się i zgasnąć; o mnie – nie ma obawy, ja nie zgasnę. Bo mnie nie wolno. Ale – zreflektował się – nie wolno mi też nie wierzyć w gromadę. Z niej moja siła, ich siła w tej sprawie – ze mnie.

Nie wiedział Hubert o tych myślach Stefana, a jednak w tym momencie przywołał na pamięć krakanie Adama, że młodzież niczego nie chce i tylko „czeka na führera”.

– Młodzież wysuwa swych przywódców sama i sama stwarza przed sobą zadania. Tylko nie u-

mie tego nazwać po imieniu, nie umie zawczasu przewidzieć. Czasem potrzebuje – podpowiadania, często potrzebuje pomocy w wykonaniu. Ale to gruby błąd, co Adam myśli. Młodzież – i może tylko ona jedyna z samej swej istoty – jest demokratyczna, sama sobie stanowiąca swój rząd.

Niezupełnie takimi słowami myślał Hubert, był przecież jednak za młody, aby sobie sprawę jasno uświadomić. Ale tę demokratyczność młodzieży wyczuwał intuicją urodzonego wychowawcy i do niej stosował metodę swego postępowania. I miał głęboką rację.

Już nazajutrz zaczęła się praca. Miała im przynieść wiele radości i wiele ciężkich doświadczeń i prób, zanim skończyła się zwycięstwem.

Schodzili się każdego popołudnia na trzy godziny pracy. Dyżury tak były ułożone, że na każdego wypadła robota co 3 dni. Z początku zresztą i to było za dużo, bo brakło łopat, kilofów, taczek. Dopiero z końcem października zjawił się jak Deus ex machina pan Zaworowicz, przedsiębiorca budowy dróg, który pożyczył narzędzi, wskazał drogę do technika-rysownika, dzięki czemu uzyskali należyte plany roboty, ba! własnym sumptem opłacił furmanki dla wywiezienia usuniętego gruzu hen, aż na szosę michałowską, nieledwie podejmował się ca-

ły skwer sam zrobić. Dziwne im to było, bo tego tylko wzajem żądał, aby o tych jego usługach Zarząd Miejski wiedział i jednego – jak mówił – pragnął za to odznaczenia. – oto. aby wejść do Zarządu Koła Przyjaciół Harcerstwa, tego samego, w którym zasiadał pan Wiceprezydent Miasta. Nie zastanawiali się długo nad tem i chętnie mu te wzajemne, drobne przysługi wyświadczyli.

Robota była radosna, rosła w oczach. Już po kilku tygodniach, gdy Dyrektor ich gimnazjum przyszedł obejrzyć „corpus delicti” – przyczynę tylu nieodrobionych lekcji, jego żartobliwy stosunek do rzeczy zamienił się na entuzjastyczny, tak wielkie były zmiany i wyczuwalny zamysł przyszłych urzędzeń. Uściskał Stefka, Tarzana, palnął od serca małą mówkę i zapowiedział, że całe gimnazjum urzędzi „Dzień Pracy”, wspólnie pracując tu, na tem boisku.

„Dzień Pracy” odbył się 11 listopada i plonem jego było zniesienie dużej wyniosłości gruntu w północnym rogu placu, która już od dawna niepokoiła pracujących swemi rozmiarami. Obecnie, dzięki wielkiej liczbie sił ludzkich, znikła bez śladu.

Ale przyniósł z sobą i wielkie, groźne niebezpieczeństwo. Wprawdzie wszyscy w „Czwórce” z małymi wyjątkami pracowali od przeszło miesiąca

chętnie i mieli na widoku ostateczny cel pracy: ogródek dziecięcy, jednak – jak to u młodych bywa – trwające od początku napięcie nagle w „Dniu Pracy”, dniu ich tryumfu, rozładowało się, uczuli się tym efektownym wynikiem swej inicjatywy już jakgdyby zaspokojeni – i najbliższe 3 dyżury świeciły nieobecnością kilku pracowników. Stefek, Tarzan zabiegali, przyciskali towarzyszy do muru. Obiecywano – i nie przychodzono. W sukurs nabywanym przez nich przyszli ich rodzice, niespokojni o zdrowie pracujących tak późną porą, i nauczyciele, ostrzegający przed efektami półrocza. Zniechęcenie wisiało, jak groźna chmura, nad całym planem...

Wtedy poznali wartość przyjaźni towarzyszy wspólnej idei. I wartość dzielnego przywódcy.

Bo widząc, co się dzieje, Adam zerwał się ze swego stanowiska wodza-observatora i zarazem „szeregowego pracownika”. Zanim jeszcze zaczęto sobie zdawać sprawę z zachwiania, śmiałym rozkazem przerwał robotę, jak gdyby ten atak spełnił już swoje zadanie, i wskazał nowy front: za półtora miesiąca czekała ich w szkole próba półrocza.

Po dużym wysiłku fizycznym chętnie zwrócili się w tę stronę i z niespotykaną energią poczęli nadra-

biać braki w wiadomościach. Znowu zawrzało, znów nowi przywódcy wysunęli się na czoło.

Nie odczuto zaś tej zmiany frontu jako przegranej, bo równocześnie spełniła się próba przyjaźni „Czwórki” i „Ósemki”. Na skwerze musiała być przed zimą wykonana jeszcze jedna ważna czynność: obsadzenie w wykopanych dołach pali ogrodzeniowych. Na wezwanie ruszyła się „Ósemka”. Chłopaki przerwali swoją robotę, w której dotąd zatopieni byli po uszy – i ruszyli ławą na skwer. W obrotnych rękach robota śmignęła jak piorun. W trzech dniach pale były obsadzone.

Trzeba przyznać, że było to w pewnym stopniu poświęcenie ze strony „Ósemki”. Mieli na głowie ogromną robotę: przygotowanie do owej zamierzonej wystawy o „Człowieku Pracy w Polsce”.

Mieli w niej przedstawić wyniki, do jakich doszli, grzebiąc się sami w trudnych zawiłościach całej tej sprawy. Z początku zdawała się taka prosta, a potem wyszło na jaw, że każdy szczegół, każde zagadnienie życiowe ma swoją jasną i ciemną stronę, swego „orła” i „reszkę”.

A w dodatku dopiero, gdy zebrali się jako komitet wykonawczy wystawy, aby przedstawić sobie nawzajem przeprowadzone dotychczas przygotowania, zdali sobie sprawę, co za ogrom roboty ich cze-

ka, choć już duży jej kawał odwalili w ciągu jesieni.

Ze sprawozdań wynikało, że mają przygotowane wszystkie plany, nawet większość cyfr potrzebnych do statystyk, ale też – że to wszystko stanowi chaos. Zanimby się w tem dobrze zorientowali, ułożyli we właściwym porządku, aż strach brał, ile na to czasu potrzeba. Więcej nawet na samo zrozumienie, niż na właściwe wykonanie. Dlatego wprost narzucała się myśl, że trzeba termin wystawy przesunąć.

To ich denerwowało. Władek (zajmujący się działem młodzieży), zaawansował się w przygotowaniach dalej. Było już również zrobionych kilka wywiadów, „co w naszej okolicy przybyło w ciągu ostatnich 5 lat”. A w innych działach dopiero teoretyczne uplanowanie eksponatów. Szczególnie Wacek zwalczał pośpiech. I byłby się spór srogi wszczął między przyjaciółmi, bo ci, co zaczęli swoją robotę, bardzo się do niej przywiązali i nie chcieli jej odkładać. Wacek zaś i zwolennicy jego poglądu, przejęci byli ważnością dzieła i bali się je przez pośpiech spartolić. Wdał się jednak w sprawę Stach i przeciął spór propozycją kompromisu.

– Wystawa nie może być dziełem jednej drużyny, muszą ją urządzić wszystkie przedownicze grupy harcerskie w naszym hufcu, zarówno z miasta

jak i z powiatu. A czy są do tego zaagitowane, czy zdążą się wogóle zabrać przed końcem zimy?

– Nie! – pokiwali głowami nawet najzagorzalsi – jedna „Czwórka”, co z nią blisko żyjemy, a i to nie wiadomo, czy przystąpiłaby. A kolejowa, a ci z sekcji harcerskiej klubu sportowego huty „Brzask”?

– I w Rykoszynie jest kilku starszych! Cała drużyna robotnicza w Skalsku!

– No, więc! Dlatego proponuję: urządzić tylko częściową wystawę teraz, na Wielkanoc. Jeden rozdział np. „Dorobek pracy”, albo „Położenie młodocianych”. Zrobić to na użytek wewnętrzny hufca, dla nas samych, jako próbę, do czego jesteśmy zdolni. Ale przede wszystkim jako zachętę dla innych harcerzy, żeby przystąpili. Jak zobaczą, że już coś zaczęte, to się chętnie przyłączą. A wtedy, już wspólnymi siłami zmontujemy na przyszłą Wielkanoc wielką wystawę całego Hufca.

– To jest myśl! – odezwali się prawie jednocześnie Władek i Wacek i zgoda głównych przeciwników przesądziła sprawę.

Wybrali fragment o „położeniu młodocianych w Polsce”. Wnet rozpoczęły się prace przygotowawcze. Polegały najpierw na ustaleniu szczegółowego planu eksponatów i tablic, potem na zebraniu i ze-

stawieniu cyfr i danych. W trakcie tego doszło do żywych dyskusji, w których okazało się, że mało jeszcze wiedzą i Stach zaczął szykować cały cykl referatów informacyjnych, do którego szukał prelegentów.

A wtem wpadł w to wszystko, doprawdy niespodziewanie – alarm zarządzony przez Komendę Hufca. Z początku trudno się nawet było zorientować, czy to alarm serjo, czy tylko próba: wezwania przyszły na prawdziwych blankietach telegraficznych, pisane szyfrem.

To wysilił się Krąg Starszoharcerski, który już we wrześniu przygotował to ćwiczenie dla starszych zastępów Hufca, lecz wówczas został zdystansowany przez Radę 4-ej Drużyny, która urządziła ów bieg z wózkami. A teraz wypadła kolejka na Krąg.

Przygotował coś, co się nazywało „biegiem z przeszkodami społecznymi”. Chłopcy, zwłaszcza z „Ósemki” trochę na tę nazwę wzruszali ramionami, jednak ćwiczenie rozpoczynało się ciekawie.

Już samo odcyfrowanie szyfrów. Trzeba było klucz do szyfru odebrać telefonicznie, nadany brzęczykiem. Godzinę zbiórki należało rozpoznać według ogniska rozpalonego na wieży piastowskiego zamku.

Gdy późnym wieczorem ujrzeni wreszcie te wici,

zbiegli się z zaciekawieniem. Bieg miał za zadanie zapoznać uczestników z pracą ludzi w nocy. Ile tej pracy potrzeba, aby utrzymać normalny tok życia.

To było ciekawe. W urzędzie telefonicznym, gdzie sami nadawali brzęczykiem depeşe i poznali organizację dyżurów nocnych i całej pracy. A potem w straży ogniowej, gdzie w czasie spokojnego zwiędzania zaskoczył ich alarm i po słupach i linach zjeżdżali z sypialni do garażu i pędzili do pożaru... rozpalonego stosu drzew, dokąd doprawdy trudno było doprowadzić łańcuch ludzi, podających sobie od studni z rąk do rąk kubły z wodą.

Od straży ogniowej rozdwoiły się ich drogi pięciorakim szlakiem: wywiad ze stróżem nocnym i na stacji benzynowej, w mleczarni okręgowej i w kuchni restauracji „Europa” oraz na stacji kolejowej. „Orły” szli niezbyt zadowoleni. Wypadł im wywiad ze stróżem nocnym i nie wróżyli sobie stąd nic ciekawego. Że jednak noc w niedużym mieście ma swój dziwny czar, poddali mu się, choć było mglisto i deszcz mżył chwilami.

Stary stróż nie był w humorze. Musiał widocznie czuć coś w rodzaju zazdrości w stosunku do przechodniów wracających do domu, bo na przyjazne powitanie ledwie odburknął.

Głupio im było zatrzymywać się przy nim tylko dla rozmowy, więc upozorowali to gremjalnem poprawianiem sznurowadeł u butów. Ale nic nie wyszło. Wtedy do Konrada podszedł Edek Rozwadowski i szepnął:

– Ja to załatwię! – Oczy mu lekko błyszczały, a nozdrza poruszały się podniecieniu, jak myśliwemu przed polowaniem.

Odeszli na bok i udawali, że czytają stary afisz „Dnia Oszczędności”, Wtem dobiegło ich nawoływanie Edka. Podbiegli żywiej.

– Posłuchajcie, pan Gałach opowie, jak się na niego narwali ci, co wiali z mieszkania Dyrka – wołał Edek i dopiero teraz zdali sobie sprawę, że stoją tuż pod mieszkaniem Dyrektora Gimnazjum, w którego oknach widać jeszcze było światła.

I gdy stary stróż niezdarne, ale plastycznie opisywał drogę ucieczki złodziei po sensacyjnej kradzieży u Dyrektora, Edek z pozorną niedbałością wyciągał starego na słówka i mrugał na Zbyszka, który za plecami coraz bardziej rozciekawionych chłopaków zapisywał odpowiedzi. Konrad słyszał, jak kierowana przez Edka rozmowa z motywów sensacyjnych, które emocjowały starego i chłopców, skręca na właściwy temat: jak się powodzi,

jak się żyje i pracuje nocnemu dozorczy. Słyszał – i widział, jak bardzo Edek jest w swoim żywiole: – detektyw, namiętny poszukiwacz ciekawostek czy reporter? Tak, tak, zupełnie amerykański zapalony reporter!

...Wiedzieli już wszystko i zaczęli się żegnać. Stary zbudzony ze swego gadulstwa, zachnął się i chwyciwszy za zegar kontrolny pokuśtykał szybko ku wyznaczonym punktom. Oni zaś, przeziębli od wilgoci i nocnego chłodu kopnęli się żwawo na punkt zborny przed hutą „Brzask”.

– To się mówi: stróż – sapał w pośpiechu gruby Bronek – a to jest kawał roboty!

– No! – odezwało się potwierdzająco z kilku stron, a był w tem odezwaniu i szacunek dla ciężkiej pracy i podziw dla sprytu potrzebnego, by przechytrzyć złych ludzi, i zrozumienie dla ciężaru długich, mokrych nocy.

Jaśniejąca blaskiem, świdrująca uszy zgrzytem szlifiarek, dudniąca hukiem maszyn, tętniąca pracą – szklana huta „Brzask” była doskonałem zakończeniem tego obchodu miejsc nocnej pracy człowieka w Pawłowie. Jednych poraziła żarem swych wianien z płynnym szkłem, w którym prawie nurzałi się robotnicy, drugich ukłuła zazdrością, ale i na-

dzieją, że praca nie wszędzie jeszcze zastygła, więc może i oni dotrą do niej, wszystkich zaś nastroiła na wysoki ton szacunku dla tych, którzy się tam mozolili, pragnienia współdziałania w ich twórczości.

Wtem usłyszeli nagle wołanie Michała, który przed chwilą oddalił się nieco:

– Hallo! patrzcie: sygnały!

Zerwali się, lecz nie widzieli nic, oślepli w ciemności od wpatrywania się w płomienie. A Michał gorączkował się:

– O, tam, światło! S.O.S.! wołają ratunku!

Gdy źrenice przystosowały się, ujrzeli: zdala, gdzie szosa michałowska przedziera się przez las na Porońcu, snop światła reflektorowego zapalał się i gasł, rzucając długie smugi na dach chmur: trzy krótkie, trzy długie.

Już biegli, w biegu łącząc się w zastępy i nasłuchując głosu przywódców. Chłopcy Stacha rwali przodem, Hubert ze swoimi przystołał. Sygnały zmieniły się. Było to teraz wyraźnie hasło do depeszy znakami Morse’a. Za chwilę zaczęła się depesza. „M” – sylabizowali, biegnąc, –o–s–t– „mostek”! czytali dalej – „pod autem zawalił się”.

W biegu Hubert rozdzierał rozkazy: – Orły na budowę po żerdzie, Zbych do izby po apteczkę i po-

tem biegiem na szosę! Stach! – huknął przed siebie – dokąd miał iść ten zastęp, który się spóźnił do huty?

– Do mleczarni – dobiegło w odpowiedzi. więc jeszcze jeden goniec pędził do budynku spółdzielni mleczarskiej. Reszta zaś skrótem przez las dogoniła zasapanych „Ósmaków”.

– Zostaw tu część zastępu – rzucił Stachowi Hubert – moi nadejdą z żerdziami, będą zmeczeni Twoi ich zmieniają. I od tego miejsca co 500 metrów sztafeta!

– Dysząc, krokiem skautowym posuwali się naprzód pod górę. Lecz przywódcy zahamowali bieg: – Na miejscu musimy być zdadni do roboty!

Z za zakrętu buchał im w oczy blask reflektora. Za chwilę byli przy nim.

– Co jest? – krzyknął Stach.

– Druhu Družnowy! – usłyszeli w odpowiedzi – byliśmy w mleczarni...

– Ach, to wy! Ale tu? tu co się stało?

– Auto mleczarni zaważyło mostek. Szofer uderzony w kolano. A tu coraz gorzej trzeszczy...

Schylili się nad mostkiem. Zawieszony nad kilkumetrowym wężem trzeszczał złowrogo. Złamane deski sterczały ku górze, ciężarowe zaś auto ca-

łym tyłem podało się w dziurę. Spróbowali je ruszyć. Przeciwnie, zapadło się silniej.

– Obejrzymy od spodu belki – zawołał Stach do Huberta i razem zsunęli się pod most. Jednocześnie cała gromada bezładnie krzątała się koło samochodu, usiłując go wydobyć. 20 chłopaków to dodatkowa tonna ciężaru! Zatrzeszczało! Spadły jakieś deski i z pod mostu dobiegł zirytowany głos Stacha; w oczach Edka Rozwadowskiego, który na skraju szosy wypytywał ze swą namiętną ciekawością szofera, badając jego kolano, mignął w tej chwili groźny obraz walących się wdół ciał, żelastwa, drzewa; całą siłą wstrzymał się, by nie podnieść nagłego alarmu: tupot uciekających w panice nóg dopełniłby dzieła zniszczenia!

Cichym, lecz przejmującym głosem wypowiedział: – Druhowie zamrzeć bez ruchu! – zamarło. – Najbliższy szosy wycofa się z mostu! Następnym!

Odetchnął. Za chwilę most był wolny. Jednocześnie wychynęli z węża Stach i Hubert: – Edek to było dzielnie! Zarazem nadbiegali chłopcy z żerdziami. Zorganizowano akcję. Okazała się nie-trudna. Opróżniony od baniek z mlekiem samochód dał się unieść na żerdziach, przesunięto go na szosę.

Edek, który tymczasem dowiedział się już wszyst-

kiego, opowiadał: Auto 27315 codzień o godz. 22 przywozi do mleczarni okręgowej mleko z okolicznych spółdzielni. Gdy zastęp „Ósemki” przybył na wywiad do mleczarni, nie było go jednak i zaniepokojony kierownik prosił ich o zbadanie przyczyny. W ten sposób znaleźli się na szosie i zdala ujrzeli nieruchomy snop światła. Po przybyciu na miejsce...

– No, a gdzie reszta zastępu?

– Tu jesteśmy – odezwały się zawstydzone głosy – wyminęliśmy się z wami. Dopiero Zbyszek biegnący z apteczką zawrócił nas!

– A skąd sygnalizacja?

– To Wacek. Zasłaniał i odsłaniał reflektor kurtką!

– W ten sposób – kończył uroczyście nowokreowany reporter – ćwiczenie na temat „nocna praca człowieka w Pawłowie” skończyło się pokazem na temat niebezpieczeństw tej pracy...

Za chwilę auto ruszyło. Niedługo wprawdzie było tej jazdy, bo za górką musiało się zdać na łaskę trzydziestu chłopaków, którzy w mozole dopchali samochód aż do celu. Około drugiej w nocy ćwiczenia się skończyły.

I tylko czterej wartownicy pozostawieni przy rozpalonych na środku szosy ogniach ostrzegawczych

powiększyli liczbę ludzi pracy, pełniących swą nocną służbę dla dobra społeczności Pawłowa.

Rano złuzowało chłopców pogotowie drogowe. Robociarze po koleżeńsku uścisnęli ich dłonie.

VI

BIAŁE SZALEŃSTWO

Wacek! – darł się w niebogłosy z izby „ósemki” Roman, rozkraczony do niemożliwości na długim pniu drzewnym wyrzeźbionym w kształt narty, do którego przymocowywał wyciętą już i wykończoną, ale niewygiętą nartę.

Tem wołaniem oderwał Wacka od malowania gotowych już desek. We dwóch ścisnęli imadłami nartę i powrócili do swych robót. Roman na żelaznym piecyku wygotowywał w saganie pełnym wrzątku swe deski, Wacek kończył politurę. Za chwilę drzwi się rozwarły i wszedł Zdzych, brzęcząc pękiem więźb, które wykonał w domu.

– Trzynaście sztuk – zawołał – jeden będzie jeździł „jednonóz”.

– A reszta?

– Nie dałem rady. Do drugiej w nocy robiłem – tłumaczył się.

– Jak nie zrobisz na termin i potracą nam te piętnaście procent, to ty będziesz śpiewał!.

Wykonywali narty na zamówienie. Piętnaście par zapotrzebował miejscowy pułk strzelców, pięć parharcerski klub narciarski z Łodzi, kilka jeszcze prywatne osoby. Ci z „ósemki”, którzy byli bezrobotni, pracowali przy tym, zarabiając 6 zł. na sztuce, a 6 zł. brała drużyna.

Stach spodziewał się z tego warsztatu mieć 120 zł. i 8 par desek. Zbierali zaś forszę i narty na wielkie przedsięwzięcie drużyny, które ich samych przejmowało naprzemian to strachem to nadzieją: na zimowisko w Zakopanem.

Gdzie im, biedakom do Zakopanego? A przecież! Zawzięli się: to byłoby dla nich potwierdzeniem ich siły gromadzkiej. Wzięli się na różne sposoby. Wyrob nart. Przedstawienia kinowe we wsiach na powiecie. I „oszczędność żywnościowa”.

Właśnie wdarła się do izby cała gromada. Władek zaraz skoczył ku szafie i odsłonił przed ich oczyma całe jej bogactwo. Pełne półki torb z kaszami, mąką, cukrem. Spód wypełniony kartoflami.

I teraz pchali się do niego, a on zapisywał. Kilo cukru, 2 kg. mąki, 10 deka herbaty. – Tej kaszy nie biorę! – zerymasił, wsunąwszy nos do torby.

Zimowisko było pierwszym z ich dwóch – obok wystawy – wielkich przedsięwzięć, które zamierzeli. Szło sprawnie i Stach widział już, że się uda.

Z obliczenia z ołówkiem w rękę, według doświadczeń pewnej robotniczej drużyny warszawskiej wypadł koszt na jednego uczestnika 28 zł.: 10 zł. przejazdu, 12 dni po zł. 1.20 to 14 i pół na wyżywienie. trzy i pół mieszkanie, światło i nieprzewidziane. Jeśli każdy od października do grudnia wyniesie z domu produktów na 8 zł., 12 zł. dołoży się z zarobionych pieniędzy, to już pozostałe 8 zł. choć z podziemi wydobędzie. A jeśli narty będą...

–...Jak nic, panie Prezesie, będziemy w dwunastkę w Zakopanem! – dyskutował Stach z przyjacielem drużyny (bo okazało się jednak, że znalazł się taki, który zaprzyjaźnił się z nimi i zebrał gromadkę solidnych ludzi, by im pomagać jako „Koło przyjaciół”).

Wśród tych prac w warsztacie narciarskim i przygotowań do zimowiska – ledwie się spostrzegli, że nadeszło Boże Narodzenie. Zdążyli jednak załatwić wszystko na czas.

W przeddzień Wigilii zaczęło prosić i po świątym śniegu całą gromadą ruszyli za miasto. Większość po raz dopiero pierwszy odbywała obrzęd gwiazdki wśród boru, dokoła roziskrzonych świeczkami żywej choinki, z tupaniem zmarzłymi stopami wokół ogniska, pod czarnych dachem śnieżnych chmur. To też z całym przejęciem, jak za dawnych

lat, zawodzili kolendy, długo obracali w skostniałych palcach drobniutkie podarki, którymi się wzajem obdarzyli. Gdy wracali szumnie, wesoło, nowego znaczenia nabrała w ich ustach pieśń, że „dobrze jest wędrować białą wstęgą szos”. Rozochociła ich do dalszych wypadów na białe harce i w najbliższą niedzielę mimo, że połowa z nich wyruszyła w Tatry na zimowisko, (a może właśnie dlatego), włączyli się po okolicach Pawłowa. Skoro zaś był z nimi Władek, nic dziwnego, że jedna z tych wypraw zamieniła się w cały wywiad społeczny: na temat „położenie młodzieży na wsi”.

W tym czasie jednak „wyprawa polarna” ze Stachem na czele była już na zimowisku, we wsi Olcza pod Zakopanem.

Ogarnęła ich cudna zima tatarzańska i – białe szaleństwo. Od pierwszego zaraz dnia, ujęci w twardą szkołę narciarską Staszka, pędzili na łeb na szyję ze śnieżnych stoków, trzeciego dnia zjeżdżali buńczucznie z Topolowej Cyrhli ku Olczyskim wodom, a czwartego – –Hubertowski widać duch pokusił Stacha, bo wywiódł ich do Chochołowskiej Doliny z zamiarem przedarcia się przez przełęcz Iwaniacką i zjazdu do Kościeliskiej.

Lecz zapóźnili się. Godzina druga po południu zastała ich dopiero na Iwanówce. Krótka chwila

wahania i zdecydowali się brnąć dalej, odesławszy trzech maruderów. Było to ciężkie podejście stromym stokiem. Narty w śniegu po kolana, a pod deskami – naklejone grube warstwy białego ciężaru. Wywrotka – to pewny kozioł głową w zaspę, a pochód krzyżowym krokiem ciężki nie do zniesienia. Ale brnęli.

Zapadł szybki, krótki zmrok. Okiście na świerkach, tak radosne w słońcu, szczyrzyły teraz ku nim ponuro swe białe zębce, a droga wspinawszy się na lesiste żebro, rozpelzła się wśród świerszczyzny, pni drzewnych, wykrotów. Wspinać się było coraz ciężej, aż wreszcie przestali iść. Było już zupełnie ciemno. Nogi osłabły, ręce dygotały z wysiłku, oczy biegały nerwowo. Józek próbował szukać dalszych śladów i Stach nawołując go poznał po dźwięku swego głosu, jak bardzo był zdenerwowany. Nie było wątpliwości. Zbłądzili. Nocą w śniegu na lesistym stromym zboczu. – Wiedział, co to znaczy.

Zebrał się w sobie i zdecydował szybko.

Dość! Zawracamy! Chwila postoju. – Roman, wyciągaj maszynkę spirytusową! A wy wszyscy na przemian, to bieg w miejscu, to zabijajcie rękami. Kto zamarznie, ten do karnego raportu! – zażartował. Błysnęła zapalka. W jej blasku dostrzegł

zsiniałe twarze i skurczone postacie towarzyszy. Wydobył z siebie śmiech.

– Hallo! Melduję posłusznie, rozpoczyna dyżur nocna zmiana narciarzy tatrzańskich. Hej tam! Trening przedzjazdowy!

Nastrój się przesilił. Zaczęli skakać w miejscu, rozgrzewać ręce. Przeszali spoglądać w czarną otchłań, zato wskazywali trawersy przez las. Łyk gorącego śniegu z menażki oszukał ich pragnienie gorącego jedzenia. Ostatnie podskoki. Jakiś żart. I w dół.

Mróz ostro ściał zwilgłą powierzchnię śniegu i w szerokim żlebie wystarczało przechylić się ku stokowi, by narty, choć ustawione wpoprzek spadziści, ześlizgiwały się w dół. Prawie leżąc, więcej na kijkach niż na deskach, zjeżdżali żlebem, póki się nie skończył. Wtedy trawersy i zakosy przez las. Gdy pierwszy szukał przejścia, reszta rzuciła się jak w tańcu Św. Wita – dla rozgrzewki.

Wtem zabrzmiał głos najmłodszego, Tolka: Hej, trzymaj nartę! Śmignęła mu z pod nogi jak szczur i cudem jakimś zaryła się w zaspę tuż pod Stachem. Mróz szczypał, ziębił, gdy Józek z Wackiem reperowali więźbę. Lecz ani za tym razem, ani przez wszystkie następne przystanki, (bo jak na złość, pod Tolkiem rzemień pękał co parę chwil), choć

każde zatrzymanie mogło grozić odmrożeniem, ani też w czasie pochodu, gdy trzech słabszych wstrzymywało ruch całości, nikomu nie przeszło przez myśl by się rozdzielić, by część ruszyła przodem. Spełniała się próba przyjaźni.

Wreszcie z dołu zabrzmiał tryumfalny głos Stacha: – jest droga!

Wkrótce stali na szlaku, który poprzednio zgubili. Lecz dalszy ciąg nie był taki prosty. Droga waliła w dół, dziurą przez las, w czarną otchłań, której nie zdołało rozjaśnić mdle światelko latarki.

Stach nie dał nic po sobie poznać. Gdy zastęp dotarł do niego, podał się wprzód i runął przed siebie. Gałęzie biły po twarzy, narty skakały pod nim, omijał okrakiem jakieś głązy, aż rzuciło nim w zaspę, że jęknął. Nim się poruszył już miał na sobie całą górę ciał, nart, lin, kijków. Wygrzebali się. Opanował ich ów owczy pęd, charakterystyczny dla górskich zbłądzeń: naprzód i wdół, byle prędzej. Stach znów przodem; po odgłosie posuwania się nart i po sposobie ich drżenia pod nogami wyczuwał w ciemności, czy zjeżdża jeszcze przez śnieg ubity ich poprzednim podejściem, czy znosi go w wertep. Wtedy padał, bo skrócić się nie dawało; a za nim cała gromada. Gdy od tyłu posłyszeli głos

najmocniejszego, Józka, który zamykał pochód, ruszali dalej.

Jakim cudem dotarli do szalasu na Iwanówce, nie mógł tego nigdy Stach pojąć. Sam chyba czysty instynkt życia wyrwał ich z opresji. I taż radość życia rozsądzała ich widać, gdy w czterech ścianach szalasu rozhulali się tak szalonym „zbójnickim”, jakiego ta hala nigdy przedtem ani potem nie widziała. Gdy ruszając w dalszą drogę Stach zdjął z kijków pozostawione przez zapomnienie rękawice, były tak twarde, ścięte przez mróz, że się nie dały wciągnąć na ręce. Dopiero przygniecione między nartami skruszały. Z takiej to przygody unieśli cało głowę.

Nie wszyscy wyszli zresztą bez szwanku. Janek ciężko odmroził nogi...

Przez następne dni powracali do równowagi. Jeszcze tylko od Wodogrzmotów i Pięciu Stawów przez Opalone, które upamiętniło się spotkaniem z Przewodniczącym Związku dr. Grażyńskim, do Morskiego Oka, jeszcze wspaniały Sylwester w najmilszym na świecie schronisku w Roztoce, a potem tylko zjazdy z Cyrhli, z Hrubego, z Gubałówki przy księżycu, a przedewszystkiem wieczory w „chałupie”, jak mówili z góralska.

Wracali zaś do równowagi nie tylko po „warjac-

kiej wyprawie Iwaniackiej”, lecz po przejściach ostatecznych miesięcy. Toć jeszcze latem chodzili samopas, ani im się śniło, że przechodzić będą przez próby ogniowe tak trudnych przedsięwzięć, groźnych przygód, że czekać ich będzie emocjonująca wspólna praca nad ową wystawą, a nade wszystko brała ich serca to oto przyjaźń, której dawniej nie znali, zrodzona ze wspólnych marzeń, wspólnych planów, wspólnej pracy, przygody i przeżyć.

Dlatego też popołudniami, gdy przed nimi gorzał w zachodzącym słońcu łańcuch Tatr, piękny aż do bólu w oczach i „kajsi na wnętrzu”, rozpoczynali długie rozhowy. Kogo nie interesowało, szedł na bok, reszta zaś – w trójkę, piątkę czy ósemkę – grzebała się przez zawilosci ich życia, tak samo przyjaźnie wspierając się jak pod Iwaniacką, tak samo buńczucznie drąc się za lby, jak niedawno w „pogoni za lisem”.

O czym tam nie było! O „miłości i przyjaźni” gadałi przez dwa wieczory, innym znów razem zwierzenia, a kiedy indziej o policji, bo Mietek do szkoły w Mostach Wielkich wybierał się, więc czy powinien, i jak to pogodzi z ich wspólnymi zasadami? O harcerskich sprawach mało – i tylko ich poruszył spotkany niedawno Przewodniczący Grażyński, o którym tak sprzeczcze słyszeli opinie, a którego

przemówienia, wyraz mocnej a pogodnej twarzy, blika im przeszłość chłopięca i wyczyny gospodarcze na Śląsku, wszystko to razem pociągało serca ku niemu.

– A może właśnie on mógłby przewodzić harcerskiej „partji” uczciwych robotników? – ozwał się naiwnie któryś, lecz zmiłkł, bo Stach rzucił twardo zdanie jakgdyby przygotowane, które już dawno przeżuł:

– Mógłby! Mógłby! Musiałby tylko przedtem wyjść z obecnej pracy! między młodych. Tylko między młodych. Dopiero! – i rozmowa się urwała.

Gdy odjeżdżali z górskiego świata, żegnała ich zdała grań Oklej Perci – mocniejszych i pełniejszych, niż przy powitaniu.

VII.

JASNA I CIEMNA DZIEWCZYNA

Z rozpoczęciem karnawału poczciwe miasto Pawłów oszalało. Gdziebyś nie postąpił, zewsząd cię to szaleństwo doganiało, wierciło uszy, ogarniało całego – i chcąc nie chcąc poddawałeś mu się: krok twój buńczuczny i poza torreadora, a ty mniej lub więcej fałszywie – śpiewasz, nucisz, mruyczysz – nogą przytupujesz, pomagasz sobie rękoma: hymn opętanych pawłowian, „marsz włóczęgów”...

Melodia silna, dźwięczna, buńczuczna opanowała miasto. Już nie tylko gimnazjum. Nie tylko seminarzystki wyciągają cienkimi głosikami. Tętnią ulice, rozbrzmiewają podwórka. Na reprezentacyjnym balu orkiestra otwiera nią zabawę. Parasol emeryta na „deptaku” zachowuje się jak pałeczka dyrygenta. Brodaty krawiec „urzędowy i tandetny” w rynku kręci ją na swej maszynie do szycia jak na katarynce. Pan starosta niecierpliwie strzepuje palcami, chwytając się w czasie ważnej narady na

tem, że wybija na poręczy fotela takt „hymnu włóczęgów”.

A przywłókł tę epidemię w pawłowskie strony nie kto inny jeno Konrad, który w czasie odwiedzin u krewnych w Warszawie zaraził się nią w Teatrze Letnim. Od paru miesięcy publiczność szalała na „Królu Włóczęgów”, śpiewała pieśń głośno w antraktach, niosła w miasto sunąc poprzez Ogród Saski. I Konrad, który wprost z teatru powędrował na dworzec, słyszał ją wciąż w dudnieniu kół pociągu, gwizdał dorożkarzom i stróżom nocnym w Pawłowie, nazajutrz od rana podbił w jej władanie całą swą rodzinę i klientów matczynej pracowni, a potem zaraził swój zastęp, z którym wędrował ulicami miasta i śpiewał, śpiewał, śpiewał. Aż melodia wdarła się bezczelna i zdobywczą wszędzie, gdzie ludzkie ucho nasłuchuje za nowością, gdzie znudzony monotonią życia mieszczuch chwyta się lada okazji, by jakimś wybrykiem przerwać cichą nudę.

Zaczęli nadawać ton. O „Panach Czwartakach” mówiło się w mieście. Zasłynęła i druga ich ekstrawagancja, która ściągała ciekawskich, pół zgorzonych a podekscytowanych pod okna ich izby, nazwanej przez nich „Karczmą pod Wisielcem”.

Był to także pomysł z dekoracji do „Króla Włó-

częgów”. Godło zwieszającego się umrzyka wycięli karykaturalnie z papieru i cień jego padał złowieszczo na szybę. Z ulicy było jeszcze widać świecznik z wozowego koła, jakieś makabryczne dekoracje pod sufitem, dziwne sprzęty na olbrzymich półkach.

Ale dopiero po wejściu do wnętrza otrzymywało się to wrażenie, o które chodziło: jakiejś ze średniowiecza wyjętej karczmy hulaszczey, klubów włóczęgów, żebraków i obikoków. Taka izba nie mogła śpiewać inną nutą, jeno – „marszem włóczęgów” albo „Marsyljanką”.

I oni sami wpadli w ten ton. Zgrywają się na „cyganerję” – mówili o nich złośliwi, ale w rzeczywistości było to w nich szczerze. Podniecało ich, że stają się popularni, przedewszystkim jednak rozpieierał ich rozmach, temperament, energia. Często schodzili się na herbatki. Omawiano wówczas program, dyskutowano na tematy skautowe, lecz najczęściej gadano o tym, co wpadło pod język.

Atmosfera bywała gorąca. Szklanki odstawiali na środek stołu i przegryzając piernikami, wysuwali coraz to nowe argumenty.

– Wiem, no tak, widziałem, na czym to polega – perorował drwiąco Tarzan – chodzisz w tę i nazad, udajesz wielkiego dżentelmena i raz na trzy dni dowalasz się do jakiejś panny. No, naturalnie –

musisz przecież mieć dużo znajomych niewiast, by po wyjściu z kościoła w niedzielę można było być przedmiotem zazdrości ze strony kolegów. I żeby mogli mówić: ale zna dużo bab! Ale to bzdury!

Nie bądź taki ważny, Tarzan, że ci wystarcza podlewać doniczki przy tych twoich zielskach i czytać jakieś książki Fidlera czy Giżyckiego. To niczego nie dowodzi! Mężczyzna powinien mieć swoją niewiastę, bo wówczas jest prawdziwym mężczyzną. Trzeba się nią opiekować, dbać i pomagać. To jest duża satysfakcja! – zawołał Konrad.

– Opiekun nieletnich! – odezwał się ironicznie Władek, zastępowy młodszych.

– Tylko bez głupich dowcipów! – rzucił się przez stół Konrad, przeszywając Władka groźnym spojrzaniem. – Dajcie spokój, chłopcy! – mitygował obydwóch Hubert.

– Do chrzanu z tem, co mówicie – odezwał się Adam. – Wybyście chcieli widzieć w pannie tylko jakąś przyczepkę, albo przedmiot, który poruszałby się obok was na ulicy i robiłby reklamę. To jest...

– A co, źle?! – poruszył się Koziołek. – Zawsze to jednak morowo, gdy koledzy w klasie zazdroszą. Co innego, że niektórych panien to się trzeba wstydzić, bo to są nie panny, a pannice...

Hubert zadzwonił w szklankę na znak, że chce

mówić. Choć gorąco między sobą dyskutowali, ale chcieli usłyszeć od Huberta, co on sądzi o tem wszystkim.

Hubert rozgniał palcami okruchy ciasta na stole, zdmuchnął skrawek serwetki bibułkowej i począł mówić:

– Właściwie wszyscy wstydzicie się przyznać. Pozujecie tymczasem na cynicznych lowelasów, coś podobnego jest z młodszymi chłopcami. Taki sam ton starają się uchwycić, bardzo rzadko szczerze mówią o swoich pannach. Dlaczego mówię, że się wstydzicie? Często na jawie, w czasie lekcji, przechadzek i marzeń przedsennych lub sennych myślicie, tak samo jak i ja kiedyś, o wymarzonej dziewczynie. Byłaby to złota dziewczyna, dla której poświęciłibyście się zupełnie. Uczynilibyście nie wiem jakie bohaterstwo, byle ją obronić lub wykazać swą rycerskość. Marzy się wam jasna dziewczyna, która byłaby zarazem przyjacielem i powiernikiem waszych planów i myśli. Widzicie i znacie tyle dziewcząt. Wszystko nie to, nie to. Jedne są wulgarne, drugie niewiadome, trzecie głupie i naiwne. To nie typ dziewczyny, o której myślicie. Słodka, dobra dziewczyna – przyjaciółka.

Chwilę trwała cisza. Słowa Huberta były po-

głębień ich własnych, nieskrystalizowanych pojęć i przeczuć.

Jeszcze trochę się pokręcili, pośpiewali i poszli.

A potem mijają dni, godziny. A nie minęło ich wiele i znów karnawał wybuchnął radośnie zabawą „czwórki”, urządzoną wraz z „trzynastką” harcerzek z seminarium, z którymi sąsiadowali podczas ostatniego obozu, co nie mogło przecież minąć bez śladu dla wielu serc. Nie dziwota więc, że na zabawie było rojno i gwarno.

Kręcą się pary lub suną w rozbrykanym fokstrocie, melodie wiją się nad głowami bezładnie, jak splecione wśród tańczących serpentyny. Dobrze jest dać nura w ten barwny świat.

– A przecież nie roztapiam się bez śladu w jego tęczości – na biały gors usztywnionego przyjaciela wylewa swoje uczucia Konrad-artysta – to jest w tej tęczy jeden kolor, który z moją barwą gra harmonią... I „kolor” wyłania się doń z głębi sali, porywa za sobą, rozchyła wargi w uśmiechu, a uśmiech gra harmonią z barwą piwnych oczu Konrada. Wsiąkają w krąg zabawy.

Sala mieni się tęczą. Ledwie w poetycznym seledynie odplynęli tamci. już Zulka i Misiak, a za nimi cała banda rozbrykanych mlókosów wdziera się z wrzawą do sali, jakby przez otwarte naścież

okno błysnęła słoneczna smuga. Lecz oto rozpryskuje się o niewidzialną ścianę wirów tanecznych i wachlarzem barw rozkłada dokoła. Zlewa purpurą rozflirtowany kąt pod palmą. Dosięga zieloną ledwie wypierzonych żółtodzióbów, smalących swe niezdarne koperczaki. Drapuje nadęte fiolety nad rytualnym tangiem, celebrowaniem w namaszczeniu przez zblazowanych jak gigolaki bubków z 6-a. A potem z kąta tryska jaskrawy błysk reflektora i wodzi ostrą ironią po rozanielonych parkach, spotniałych starszych paniach, uganiania się za nieuniknionym na każdej zabawie grubasem wywijającym oberka: to również nieodzowna na sztubackiej tańcówce paczka „tutejszych filozofów” z podpieca, którzy wyżsi ponad to wszystko „obserwują życie”. Nie dlatego nie tańczą, że nie umieją...

Chyba zaś w gęstej barwie granatu ciemnego jak burzliwa, deszczowa noc snuje się rozmowa między Hubertem a sobiepankiem Władkiem, gdy ten rzuca zaczepkę:

– Zadowolonyś, że wszystkie gąski sznureczkiem przyszły za ciocią drużynową?

– Bo co? podejmuje Hubert.

– Tacy wy wszyscy jesteście w drużynie. Musicie ustawiać się w pary do szkółki, czwórkami na

wycieczkę, rzędem gdy ciocia Mania przyprowadzi wam gęsię swe cnotki...

– A ty byś chciał jak?

Władek błysnął białymi zębami. – Przyjdź jutro na łód, to zobaczysz jak...

– A! miejscowy donjuan! Zdobywca serc....

– Żebyś wiedział – dziewczynę się zdobywa, nie dostaje w prezencie od cnotliwego Hubcia i cioci Mani. Nie udawaj zgorzonego! sam dobrze znasz smak polowania i tę satysfakcję...

– Co ty możesz wiedzieć o satysfakcji!?! – rzucił ostro Hubert – czy ty znasz szczęście, gdy nagle z pięknej laleczki błysnie ci pełny, głęboki człowiek?

Władek wydał wargi. Demonstracyjnie obejrzał się za jedną z przechodzących panien.

– Ty jeszcze jesteś w tym okresie – szukał Hubert właściwego określenia – kiedy człek się kocha dla ambicji, żeby pokazać przed innymi na jaką dziewczynę go stać, albo żeby siebie samego o tem przekonać.

Władek odprysnął urażony. Jego stać na wspa- niałą dziewczynę. Hubert goni za nim wzrokiem i widzi: jest źle, chłop wdepnął z kretešem. Roz- kosznusia panna Basia wodzi go za nos i co sił usi- łuje odrobić swe, uzyskane walkowerem przy przy-

byciu na ziemski padół osiem latek różnicy wieku: wdzięczy się... taka mała, a Władzio grzęźnie bez ratunku.

Władzio grzęźnie – i trwa to nietylko przez ten wieczór. Z Basi, niestety, nie błysnął „pełny czło- wiek” i Władek musi bardzo mozolnie montować swą łowiecką satysfakcję. Zabiera to czas i na oł- tarzu miłości czy ambicji trzeba złożyć opinię do- brego zastępowego zuchowatych „Rysi”. Opinia so- lidnego fachowca w matematyce i fizyce dawno już w „budzie” pękła. Burzę w drużynie wywołuje zdradliwe odstępstwo Władka od zespołu hockejo- wego na rzecz „prawdziwego” klubu, który bardziej odpowiadał gustom Basieńki, kiedy zaś Władek „kantem” wymógł na gapiowatym dyrektorskim je- dynaczku Stasiuniu zamianę swych turf na wspa- niałe jego panczeny – sprawa stanęła na ostrzu no- ża.

„Orły” schodzą się na pranie sumień. Gdy przed pół rokiem odbyło się takie przyjacielskie zebranie, na którym każdy o każdym oraz o sobie mówił, co widzi pięknego w charakterze i wartego rozwoju, a co wymagającego zwalczania, zdawało się, że zrodzona między nimi przyjaźń podtrzyma każdego z nich w niedobrej chwili. Tym razem jednak było

gorzej. Władek postawił się okoniem i wyłamał z kręgu przyjaźni.

Ale wtedy ujął w swe ręce sprawę Hubert. Zginęła z horyzontu drużyny i mało kto wiedział, jak się skończyła. Dopiero po paru miesiącach latem wypłynęła w rozmowie Konrada z Adamem:

– Dla mnie Hubert był niezrozumiały, jego trudno rozgryźć. Czasem przystępny, wesoly, często zamknięty w sobie, a wówczas twardy i nieustępliwy. Dlatego myślałem, że jest niezrównoważony, że wychowuje chłopców mimowoli, instynktownie.

– No, a co? Nie jest tak? spytał zdumiony Konrad.

– O nie! Widzę że i ty ulegałeś temu złudzeniu – odparł Adam. – Ale nie jest tak. Jest on pełnym, wartościowym wodzem. Przypominasz sobie, Konrad, jak Władek, no, ten zastępowy z młodszych, wojował na naszym balu? Poznał wtedy jakąś pannicę, starszą od siebie. Ona doświadczona, a on szczeniak ciekawy życia, słowem zanosilo się na coś między nimi – mówił dobitnie Adam.

– Mówisz, jak bardzo doświadczony staruszek. No, ale gadaj dalej! – zaśmiał się Konrad.

– No, i – proszę ciebie – kiedyś tam spotkali się razem. Chłopak zapomniał o całym świecie i zapomniał się na prawdę. A że zawsze poczuwał się do

tego, że jest dobrym harcerzem, więc po pewnym czasie powiedział sobie, że musi być konsekwentny. Ale konsekwentność może być różna. Więc zamyslił podać się do dymisji, zwolnić z Zethapu i... właśnie to najgorsze: wydało mu się, że wszystko w porządku. Tymczasem nawaliło się na niego masę pokus. Ano, koledzy – pierwsi. Potem panna go też kusila. No, i zaczął złoty żywot. Ale już po pierwszych dniach poczuł, że to nie to. Nie mógł oduczyć się myślenia o sprawach harcerskich, o drużynie. Z drugiej strony nie wiedział, co ma z sobą począć. Chłopakowi na gębę wyskoczył paskudny, cyniczny grymas. Aż kiedyś, w kilka dni potem dowiedział się Hubert o sprawie Władka. Zdybał go w ogrodzie, gdy siedział zgorzkniały, ćmiąc papierosa za papierosem. Wziął Władka za rękę i zaprowadził do siebie do domu. Chłopak najpierw się stawiał, udawał, że mu dobrze jest w tem nowem życiu. Ale Hubert coś mu tam powiedział, bo chłopak przestał się stawiać i w wybuchu szczerości opowiedział wszystko. Trochę zatknęło Huberta, ale nie stracił fasonu. Dobitnie wyraził swój pogląd na to wszystko. Skrzyczał chłopaka, że nie umie się wybabrać z całej tej sprawy, no, i skończyło się tem, że Hubert zawarł z Władkiem umowę.

– Jaką? spytał zaciekawiony Konrad.

- Aha! ciekawość brachu, co? Umówił się z nim, że ten po zjedzeniu obiadu będzie przychodził do Huberta i przygotowywał się do matury. Co dzień tak było. Uczył się, kuł za wszystkie czasy. Hubert spławił pannicę, nawymyślał jej porządnie. Ona obraziła się, bo to dobra nawet znajoma Huberta.. A wiesz, jaki on jest prędko. Musiał jej coś tam ładnego powiedzieć, ho, ho! Z kolegami Władka przeprawa była krótka. W tym okresie widziałem Władka. Gębę miał bladą i zacięty wyraz koło ust. Potem, po pewnym czasie odnowiło się wszystko. Hubert wówczas jak polip omotał chłopaka, klarował mu, pomagał i co najważniejsze, pilnował. No, i całe szczęście, że matura się już zbliżała. Władek w natłoku roboty zapomniał o koleżkach, pannie. Byłem akurat u Huberta, jak przyszedł po maturze Władek i dziękował mu. Ten skrzywił swoim zwyczajem wargi i powiedział:

- Właściwie, Władku, to sam sobie dałeś szkołę. Ja ci mało pomogłem. Gdybym wiedział, że jesteś drań, z którego nic nie można byłoby zrobić, tobym ci napewno nie pomógł, ale tak można cię było jeszcze ratować. No, to pomogłem. Tylko nie gadaj mi o wdzięczności. Głupioś to powiedział, bo cała ta wdzięczność to są brednie.

- No i co o tym powiesz? zapytał Adam Konrada.

- Szczerze mówiąc to nie spodziewałem się, że Hubert jest taki. Masz rację - tęga głowa z niego.

Kończyli rozmowę, ale jeszcze pozostawali w mionionych przed paru miesiącami zimowych dziejach, bo też pełne były treści. Żal od nich powracać.

VIII.

W HARCERSKIEM KOLE JAK W ORŁOWYM LOCIE

Choć szumiało w tym karnawale zabawą, jednocześnie dudniło pracą. W suterynach gimnazjalnego budynku nie przestawały drzeć się przeraźliwie piły, skrzerzeć meble, stukać młotki, dochodził swąd stolarskiego kleju i ostry zapach terpentyny zmieszany z wonią sosnowych desek. Robiono drewniane urządzenia potrzebne do owego skweru dziecięcego, pod który jesienią przygotowali teren. Klasa VIIb przesiąkła tym zapachem, bo Tarzan z najzaufańszymi doszedł do takiego zapamiętania w robocie, że przychodzili do warsztatu przed 7-ą rano i przy lampce klecili gimnastyczne drabinki, gładzili koryta do zjazdów, majstrowali huśtawki. Na lekcjach bez przerwy omawiali nowoczesne systemy karuzel...

Ich wypadki w pole od czasu ferji zimowych zmieniły się pod wpływem Mietka Rąbiela i Zyg-

munta Pakoszcza w swego rodzaju „wyprawy po złote runo” dla celów Pomocy Zimowej Bezrobotnym. Najwięcej się w tem wyspecjalizował Zygmunt ze swoją dwójką. Jeździli po dworach na nartach. Przy bramie folwarku zapalali lucywo, a jeden dał w trąbkę. Gdy dziedzic wyjrzał oknem, Zygmunt trzymał orację, że jako dawniej w zbrojnej potrzebie gońcy z wiciami, tak dziś się wywa pospolite ruszenie!... Ślachcic się wzruszał i rozwierał śpichrze.

Mniej sprężycie poszło z „pogotowiem korepetytorskiem”. Rąbiel z Pakoszczem trwali na posterunku przez długi czas niezmordowanie, lecz niemniejszą wytrwałość wykazali kandydaci na pacjentów pogotowia, którzy wagarowali im, jak umieli, a umieli to nieźle. W rezultacie „pogotowie” do tego tylko się sprowadziło, że Pakoszcz jedną parę sztubaków, a Hubert owego rozamorowanego Władka wyciągali za uszy ze szkolnych nieszczęść. Ale jednak było, ratowało honor...

Mietek Rąbiel nie wytrwał w tej pracy dlatego, że wpadł w inną manję. Razem ze swym przyjacielem, Niedźwiedzkiem, nieharcerczem, oraz z Romanem Sobczakiem z „ósemki” biegali do świetlicy Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dziecka, aż na „Maderę”, gdzie porozumiawszy się z wszech-

obecną Druhnę Romą uprawiali trudny proceder oswajania zdziczałych chłopiąt, dzieci „rajzerów”, bezdomnych włóczęgów bezrobotnych, osiadłych tu na zimę. Coraz „zapotrzebowywali” do swych praktyk po trzech, czterech cwaniaków z „czwórki” lub „ósemki” i myszkowali wśród glinianek, baraków i ponurych nor ziemnych obok starych fortów.

A znów i Edek Rozwadowski nie zapomniał swych reporterskich emocji „biegu z przeszkodami społecznymi”. Do spółki z Ruru – Molem Książkowym i trzema jeszcze ciurami z „Wilków” uruchomili słynną i... osławioną „HAR-kę”. Harcerska Ajencja Reporterska wścibiała nosa, gdzie jej nie posiali, zdobywała rewelacje prasowe, odkrywała Ameryki, strzała byki, hodowała kaczkę (dziennikarskie), a żalosne trofea wszystkich tych harców umieszczała na wielkiej tablicy Gazetki Ściennej pod nazwą „Kij w Mrowisku”. Albowiem poczytny perjodyk p. t. „Węglem w kominie”, rysowany dotychczas na kaflach pieca w izbie, rozrósł się oto w pismo ścienne na korytarzu gimnazjalnym, a wtajemniczeni szeptali, że dorabia się nadal i porósłszy w pierze przekształci się w prawdziwy dwutygodnik... „o ile Ruru z Edkiem nie pokłóćą się znowu o kierunek pisma” – dodawali informatory tajemniczo a domyślnie.

Tak to szło. Skupieni w grupkach wokół wysuwających się na czoło przywódców robili swoje, rzucali się tam, gdzie im przekorny duch wskazywał przeszkodę. Ile w tem było żywiołości, a ile wywołała dyskretna ręka Adama, trudno było doćcić. Conajwyżej wiedzieć coś o tem mogli obaj zastępowi, Tarzan i Konrad, których Adam ścigał co tydzień do swego pokoju na długie rozmowy i odsłaniał tajemnice „wodza niewidzialnego“. Lecz ci, choć sami tkwili w tym kołowym kręgu dziejących się rzeczy, zzymali się na nowe porządki, bo trapiło ich, że ster pracy zastępów wymyka im się z rąk.

Rzeczywiście, pluton pracował w rozbiciu, grupkami. Część „niestowarzyszonych“ chodziła luzem. Zbiórki zastępów dziwnie zszarzały. Ograniczyli je do dwóch w miesiącu, lecz mimo to nieobecności zdarzały się nadal. Postarano się nadać tym zebraniom nowy ton: formę nieomal towarzyską, część dyskusyjną, „żywą wiedzę“ o Polsce, specjalizację w łączności-i „o-p-l-gaz“ na wysokim poziomie fachowym.

A mimo to zbiórki spychane były wciąż na dalszy plan przez owe coraz wyłaniające się „prace realne“, konkretne, które rozsadzały normalny tok pracy.

To też w kołach „opozycji“, wiernej „skautingo-

wi starej daty“ (której podobno z cicha patronował sam Hubert)), przebąkiwano coraz głośniej o potrzebie odbycia specjalnej rady plutonu, by ukrócić rzekome rozprędkanie. Przeczekiwali tylko jeszcze jedną „pracę realną“: potańcówkę tę, od której rozpoczęła się „sprawa Władka“, imprezę, co się zowie, dochodową, bo przyniosła zysku 200 złotych ze wstępu oraz 100 złotych z szerokiego gestu dostojnika miejskiego, na kosztą urządzenia „miejskiego ogródka jordanowskiego imienia Polskiego Harcerstwa“, jak rozczulał się dygnitarz, nieledwie lży roniąc, nie wiadomo, nad piękną ideą ogródka, czy nad utratą stu złotych...

Zabawa ta podratowała ich finansowo, ale wzmocniła tylko „fundusz ogródka dziecięcego“, a na bieżące potrzeby i na przygotowanie do lata potrzebowali wciąż pieniędzy. W dziedzinie tej działał dzielnie Krzych. Uruchomił zbieranie żelaza i butelek, wprzął małych w handel makulaturą. Trzej „chłopnicy z „ósemki“ wykonywali na jego rachunek skórzane pierścienie do chust, pasy skautowe oraz cieszące się wielkim powodzeniem pochwy do fińskich noży. Dało to w sumie dotychczas około setki złotych, były – naturalnie – i dalsze plany.

Wszystko to jednak razem nie odwlekło owej zapowiedzianej Rady Plutonu. Dokonywała się wo-

jowniczo: sprawiał to spór „zapaleńców“ z „solidnymi“, którzy upominali się o stały bieg zbiórki, o próby na stopnie harcerskie, o zaniechanie owych licznych ubocznych prac, które absorbowały czas chłopców. Na to znów z oburzeniem powstawali zapaleńcy, że nie wolno lekceważyć takich prac jak budowa ogródka, jak świetlica na Maderze, jak „Kij w nrowisku“, bo właśnie w ten sposób realizuje się program harcerski, a zbiórki, stopnie i sprawności... pal licho!

Gdy tak na ostrzu noża rzecz postawiono, spór rozgorzał ostry, ale nie miał przecież sensu, bo jedno z drugim dawało się godzić, a rozbieżność pochodziła z różnic temperamentów. Jeden działał sam z siebie, i rwie ramy, w których każda praca musi być ujęta, drugi zaś potrzebuje tych ram, aby czuć solidność roboty. Tak też Hubert sprawę rozstrzygnął. Podniósł bardzo wysoko prace społeczne plutonu, ale zarazem przesądził, że próby na stopnie muszą być.

– Każdy z nas z osobna i jako całe zastępy musimy podnosić naszą „wartość bojową“ i poddawać naszą gotowość próbom. Dlatego przed upływem roku wszyscy muszą wykazać się zdobytym wyższym stopniem lub sprawnościami!

– Ależ, Hubert, wielu chłopców nie ma zainteresowania dla obecnych egzaminów na stopnie!

– To też wprowadzimy nowe. Według projektów, planów pracy, opracowanych podobnie, jak kiedyś Oskar Zawrocki. Tylko praktyczniej.

Na to szmer powstał. Bo jednych uderzyło, że taka świętość, jak tekst egzaminu na stopień, może zostać naruszona, drudzy zaś, którzy czytali owe projekty, zgłaszali swe uwagi i uzupełnienia. Hubert z tego skorzystał. Odrazu w czasie odprawy skierował zainteresowanie uczestników na to, by ustalić punkty prób harcerskich, zapomocą których harcerze „czwórki“ mieli wypróbowywać siebie samych, czy są zdolni do czynów, jakich od nich życie może zażądać. Mając przed sobą projekt stopnia przodownika „przefasonowywali“ go po swojemu. Każdy coś dorzucał. Zaproponowane tam wymagania, nie zmieniając ich, aby nie mnożyć zbytnio projektów, rozbili na trzy odrębne grupy w sposób następujący:

Harcerzem – przodownikiem może zostać po roku solidnej służby w harcerskiej grupie przodowniczey harcerz lub cywil, który:

charakteryzuje się tem, że:

zgiebia istotę prawa i przyrzeczenia, podporządkuje się zwartym w nich zasadom ideowym.

zewnątrznie prezentuje się dobrze, żyje higienicznie, gimnastykuje się i rozwija fizycznie,

szuka wśród ludzi przyjaciela,
poznaje zalety otoczenia, aby rozwijać je w sobie,

propaguje zwartość społeczeństwa, w którym żyje, opartą o sprawiedliwość i dobrze zorganizowaną współpracę wszystkich;

spełnił następujące warunki dopuszczenia do próby:

był na obozie (14 dni) i na wędrownicy (5 dni),

zdobył sprawności: samarytanina, specjalizacyjną, gospodarczą i kulturalną oraz POS, ma mundur,

ma książeczkę oszczędnościową,
czyta „Skauta“,

jest członkiem Tow. Popierania Budowy Szkół Powszechnych, i LOPP;

a wreszcie podczas próby:

okaże na przykładach pełną praktyczną umiejętność ratowania w wypadkach przy pracy i przy o-p-l-gaz (oraz zapobiegania im), przedstawi raport z krajoznawczego wywia-

du społecznego w mieście (samorząd, ubezpieczalnia społeczna i in.) oraz w okolicy,

przepracuje 3 do 6 dni w gospodarstwie wiejskim, w warsztacie rzemieślniczym albo w sklepie,

odbędzie marsze: dzienny 30 km., nocny 20 km., z ćwiczeniami z zakresu i na poziomie swej sprawności specjalizacyj,

przeplynie 100 m., przejedzie na rowerze, odstrzela z broni małokalibrowej 75 pkt. na 100 możliwych z odległości 50 m. w pozycji stojącej,

opowie o bogactwach Polski i dorobku pracy człowieka w Polsce w dziedzinie rolnictwa lub tej gałęzi przemysłu, w której odbywał swe dni pracy,

opowie o przebiegu i wynikach życia wybranego działacza w Polsce, któremu zawdzięcza ona postęp na pewnym odcinku w ostatnich kilkudziesięciu latach,

wypowie i objaśni praktycznie Prawo harcerskie,

opowie historję, stan obecny i organizację Związku Harcerstwa Polskiego oraz własnej drużyny.

Z początku odnosili się nieufnie do tej pracy,

a potem hurmem wołali, że to ciekawsze od dotychczasowych stopni. Już nawet „przymierzali” nowy stopień „Harcerza Orlego”.

Niektórzy uśmiechali się drwiąco na temat pierwszej części wymagań, owych cech charakteryzujących postawę ideową Harcerza-Przodownika.

– Jak się to będzie sprawdzać? – wołali. – Proszę mi dać trójkę z plusem za przyjaciela!

Ale tu wtrącił się Adam: – A „pranie sumień” w każdym zastępie? – rzucił – a udział w budowie ogródka jordanowskiego? ot, macie pierwsze lepsze dwa przykłady egzaminów z postawy ideowej!

I zgodzili się z nim. Takich egzaminów rzeczywiście nastęcza się wiele w życiu drużyny. Powinny z nich być konsekwencje.

Gdy już tak daleko zabrnęli, nie mogli pominąć kwestji sprawności. Ogłoszonych urzędowo sprawności dla starszej młodzieży nie było, ani z dziedziny specjalizacyjnej ani owych zapowiadanych: „harcerskiej odznaki kulturalnej” i „harcerskiej odznaki gospodarczej”. Korzystając z tego, że władze harcerskie chętnem okiem patrzyły na wszelkie próby pomysłowości w drużynach, postanowili opracować na własny użytek regulamin odznaki kulturalnej i gospodarczej.

Edek Rozwadowski już zacierał ręce na myśl

o odznace reportera, Mietek Rąbiel zapowiadał siebie jako „teatromana”, a Pakoszcz na okładce swej książeczki oszczędnościowej już szkicował projekt wymagań „odznaki gospodarczej”.

„Wzięło” ich tak dalece, że już nazajutrz po odprawie grupa Edka („Kij w mrowisku”) opracowała plan swych zamierzeń dziennikarskich, w którym określiła, co będzie uważać za „wygraną” jako wynik pracy całego zespołu (przynajmniej 6 numerów powielanego pisma) oraz jakie stawia wymagania poszczególnym członkom wydawnictwa, aby mogli być fachowcami w tej dziedzinie. Tak opracowany plan przedstawili Hubertowi jako regulamin zdobywania harcerskiej odznaki kulturalnej w grupie reporterskiej (czy dziennikarskiej).

Hubert zatwierdził – i w zespole reporterskim zawrzało, jakby dopiero teraz wpakowano tam... kij w mrowisko.

I Mietek Rąbiel dopiął swego. Wspólnie z Adamem ustalili plan zdobywania sprawności „teatromana” (odznaki kulturalnej w grupie teatru i kina), a w sam czas to zrobili, bo właśnie gościł w mieście teatr objazdowy.

Mietek chodził tam codzień, zaprzyjaźnił się, wślizgiwał się za kulisy. Doszedł do tego, że reżyser zaprosił go na „pół czarnej” i pogawędkę o sztuce

ce teatralnej. Wprawdzie Miecio stawiał się, że wolałby takie zaproszenie dostać od primadonny teatru, ale tem nie mniej chodził dumny, jak paw. A przytem knuł jakieś plany. Na „Powrocie Przełęckiego“ spotkał się z drużynowym „ósemki“. Stach był w towarzystwie jednego z harcerzy, który pod wrażeniem sztuki zachowywał się, jakby dostał pałką w łeb. Po pierwszym akcie był ogłuszony, po drugim nieomal krzyczał i walił oklaskami jakby tysiąc armat grzmiało, a po ostatnim zniknął chyłkiem, bez pożegnania, gnany widocznie jakimś wewnętrznym poruszeniem.

– Wzięło go! – mówił Stach do Mietka, gdy wracali razem – i to całe szczęście, bo właściwie dzisiejszy wieczór jest moją klęską; zapowiedziałem wycieczkę do teatru zastępu, a przyszedł tylko jeden. Ale ten zarazi całą resztę.

– Napewno! – rzucił z przekonaniem Mietek i coś postanowił.

Nie omylił się. Gdy uparty Stach ponowił wycieczkę na pożegnalny występ teatru, zastęp stanął się prawie w komplecie, nawet sprowadzając znajome panny. Robili na galerce „klakę“, jak się patrzy. Wtedy i Mietek spróbował wprowadzić w czyn swe postanowienie.

Zaczął bywać w izbie „ósemki“. Coś knuli, upra-

wiali jakieś potajemne konszachty, spotykali się, o zgrozo, z owemi panienkami, towarzyszkami wieczoru teatralnego, aż wreszcie Stach stanął w obliczu faktu dokonanego: tworzą zespół teatralny.

Ani sobie cokolwiek pozwolili wytłumaczyć. Będą grali i koniec! i to nie żadne fidrygały, bzdurne komedyjki, tylko rzecz specjalnie pisaną dla przedstawień amatorskich młodzieży pracującej: Bakala „Śmierć Okrzei“. Już i premierę wyznaczyli: na otwarcie wystawy szykowanej mozolnie przez „ósemkę“.

W jaki sposób próby mieściły się w skąpych oknach czasu zapalonych aktorów, trudno pojąć. Bo przygotowania do wystawy o „położeniu młodocianych w Polsce“ były w pełnym toku i ledwie dawały zapać!

Stały się one okazją do zebrań, na które Stach, w związku z wykonywanymi przez chłopaków afiszami, sentencjami i statystykami, przygotował cykl gawęd o sprawach przedstawianych przez te ekspozyty. Wywoływało to dyskusje, spory i dalsze referaty wyjaśniające.

Wogóle „ruch umysłowy“ rozwinął się w Ósemce. Już oddawna wprowadzili obyczaj, iż na początku zbiórek, co dwa tygodnie, omawiali zdarzenia ostatniego tygodnia z całego świata.

– Walasiewiczówna pobiła w Drohobyczu takie a takie rekordy... podawał specjalista od sportu i jeśli była ochota, przypominali dawniejsze wyniki, a któregoś dnia wpadli w spór o to, czy słuszną jest niechęć harcerstwa do „rekordomanji“. Trzeba przyznać, że na miejsce sportu „rekordowego“, harcerstwo nie umiało dać im wiele.

Zdych jako zwolennik sensacji przedstawiał szczegóły porwania z Paryża generała rosyjskiego. Na to wpadały wiadomości o usiłowaniu uprowadzenia łodzi podwodnej przez ludzi gen. Franco, a nawet potem – sprawa hiszpańska w całej okazałości. Starali się przedstawić ją możliwie bezstronnie, bo nie chodziło tu o urabianie nikogo, lecz o znajomość zdarzeń świata.

Miłośnik teatru nieśmiało wtrącał do gawędy sprawę wyborów nowych członków Akademii Literatury i okazało się, że potrzebnie, bo rzecz była obca dla zastępu.

Od takich przeglądów zdarzeń się zaczęło, a skończyło się na owym cyklu referatów, związanych z tematami wystawy. Chłopcy byli chłonni i raz rozbudzone zainteresowania aktualne oraz ambicje samokształcenia rozwijały się szybko.

Audycje radjowe z cyklu „Dyskutujmy“ były im wprawdzie nieco za trudne do dyskusowania, ale

śluchali ich chętnie, gdy był czas. Zato wielką dyskusję wywołał Roman, gdy – jako pierwszy śmiałek – zdecydował się wypowiedzieć referat według streszczenia tematu w jednym z pism młodzieżowych. Na odznaki jednak – kulturalne i gospodarcze – niezbyt się kwapili, bo wydawała się im potrzebniejszą sama rzecz, niż jej odznaka.

Trzeba przyznać, że w tej „gadalni“ nie brali udziału wszyscy członkowie „Ósemki“. Niektórzy nie mieli „drygu“ do tego i ci uczestniczyli w lekcjach tańca, prowadzonych ofiarnie przez eleganckiego Stasiuniu z „Czwórki“, albo różnili zawzięcie w hockeya z zespołem tejże drużyny (boć i tam nie wszyscy się przejęli stopniami i odznakami kulturalnymi).

Ostatni dzień lutego stał się pod tym względem jakby symboliczny. Nietyle może rano, chociaż przyniósł z sobą zdarzenie, tak bardzo upragnione przez Stacha: naradę grona przyjaciół drużyny nad sposobem przyścia poszczególnym chłopakom z pomocą w ich trudnym położeniu materialnym i nad sprawą przyuczenia ich do jakiegoś zawodu (z czego zresztą niewiele realnego wyniku tymczasem było)...

Raczej owym symbolem całej tej zimowej pracy stało się popołudnie tego dnia.

„Czwórka“ i „Ósemka“ przemieszane ze sobą, rozbily się oto znów na dwie grupy: jedną widzimy na zamierzonym stawie przy cegielni miejskiej, druga – w cichym pokoiku Stacha.

Zespół reporterski „Kij w mrowisku“ podjął się zorganizować wielkie rozgrywki hokejowe między kombinowaną drużyną „Czwórki“ i „Ósemki“ a reprezentacją szkół pawłowskich.

Na brzegach stawu gromady widzów. Reporterzy uwijają się, informując, dokonują doraźnych interwiewów, a przedewszystkiem kolportują swą dumę i pierwszy krok do sławy dziennikarskiej: 1-y numer „Otwartych Oczu“.

Cała uwaga widzów skupiona na graczach. A ci jak w tańcu, długimi sunięciami prą naprzód, krążek śmiga od kija do kija, tańczy wraz z ludźmi po placu; patrząc na ten płaś nie uwierzysz, że to zażarta walka! i dopiero gdy zetkną się z sobą dwaj przeciwnicy, gdy morderczym wyścieniem wystrzelają spod bramki ku bramce, gdy z boiska oto straż znosi bramkarza ze zranioną nogą, – duch walki udziela się patrzącym, zapiera ich oddech nie mniej, niż graczom: dyszą żądzą zwycięstwa, instynktem walki.

Jednocześnie zaś niemniej zażarta walka – ale walka na moc argumentów, na ścisłość myśli, na

nieustępliwość szukania prawdy – toczy się w pokoju u rodziców Stacha, gdzie szumi gwarem rozmowa o trudnych, pasjonujących sprawach.

Czy Prawo Harcerskie wyraża wszystkie idee naczelne dzisiejszego harcerstwa? czy żadnej nie pomija?

Temat, który jeszcze przed pół rokiem nikogo nie obchodziłby, a dziś porusza do głębi. Jeszcze wczoraj wystarczyło im, że intuicyjnie tylko odczuwali ducha harcerskiego. Dziś – rozbudziło się myślenie: chcą już ducha harcerskiego rozumieć! Chcą sformułować to, co w ich sercu tkwi, co woła o prosty, jasny wyraz, prosty, jasny i widoczny, jak sztandar, któryby przed swym pochodem nieśli i pod jego znak zwoływali swoich i innych.

Jakże nowym dźwiękiem brzmią punkty Prawa Harcerskiego! Co dawniej było łatwiutkiem, dziś staje się trudnym nakazem. „Harcerz postępuje po rycersku“ – w dzisiejszych „czasach pogardy“, gdy za „odwagę“ jest podawane napaść gromadą na jednego albo cichcem w ciemnej ulicy zadać cios, prawo harcerskie aktualne się staje jakgdyby hasło polityczne! „Czysty w uczynkach“, „w każdym widzi bliźniego“, „karny i posłuszny przełożonym“ – jakież to zdawało się łatwe dawniej, a jak nową treścią brzmi obecnie! Doprawdy z dumą można

słuchać Prawa Harcerskiego. Gdybyż tylko za niem stało powszechne wykonywanie jego nakazów przez wszystkich; czy nie powinniśmy pomyśleć o opracowaniu komentarza do Prawa, przeznaczonego dla młodzieży starszej, któryby stanowił jakby przedłużenie jego nakazów do spraw społecznych, w które starsi wchodzą.

A wtem drzwi się otwierają i – wprost z lodu – wraz z dwoma Ósmakami wpada do izby Hubert, wódz Czwórki a mistrz gier hockeyowych. Tryskają mrozem i śmiechem, z przytupem zabijają rękoma i w parze oddechu, w iskrach wzroku wydobywa się z nich wyzwolony duch pędu i śmigłości, duch zdobywania; boć przecież nie o same zawody chodziło, nie sam wynik 2:3 dla harcerzy tak cieszy i raduje!

Ścisząją jednak drgające temperamenty i siadają grzać się przy piecu. A rozmowa wraca do tematu i to do samego sedna.

– Bo Prawo musi być pełne! – woła któryś – nic nie przemilczać.

Hubert szarpnął się i zerwał z siedzenia:

– Czyż coś przemilcza? – mierzył gromadę wzrokiem.

Przypomnieli mu noc, kiedy to wydobywali samochód z zawałonego mostu. Przedtem odbyli ga-

wędę pod murami huty „Brzask”; o tem, co tam widzieli, co się myślom nasuwało – czy pamięta?

– Czy mogłeś się w tej gawędzie powołać na prawo harcerskie? Na który punkt prawa?

– O pracy? – wołali – czy przytoczyłeś taki punkt? o szacunku dla pracy?

Z tych wołań, ze sporu, ze starego, wydobytego skądciś rocznika pisma harcerskiego wynikało, że się gromada upomina o jeden jeszcze punkt Prawa Harcerskiego. Któryby był streszczeniem tego, co dokonali, co przemyśleli w tegorocznej pracy. Na któryby w swych dążeniach mogli się powołać i wypisać na sztandarze:

– „Harcerz jest pracowity i szanuje pracę innych!”

Wyraz po wyrazie odczytywali z czasopisma proponowany komentarz: – „Harcerz jest w każdej chwili czynny i szanuje wyniki pracy innych. Swoją pracę zawodową wykonuje chętnie i sumiennie, a poczuciem twórczej jej wartości czuje się związany z wszystkimi ludźmi pracy umysłowej i fizycznej”.

– A wam się zdaje, że coś tem zwojujecie? – rzucił się Hubert. – Że przejęci waszemi słowami, wszyscy poczną czynić? Śmieszni jesteście! Ileż już takich sformułowań było – i co, jaki rezultat?

Prawo nosi się w sobie, nakaz własnego sumienia.
A wy chcecie...

Lecz mu przerwali i spór gromady z jednostką rozgorzał na dobre. Oni – że wzorków dla grzecznych dzieci nie potrzeba –

On – że robią sobie z prawa jakiś program organizacyjny –

Oni – że tak! że program walki całych mas młodzieży! To, co gromada ma osiągnąć –

On – że znamy te programy! Formułki zależne od pojęć politycznych grup albo i klik, przemijające...

– Ale zawsze żywe! Nie zawieszono w powietrzu. Program ludzi, którzy tkwią wśród ludzi, a nie odgradzili się od nich swą świętością. Którzy widzą świat taki, jaki jest. Widzą między innymi – nieszanowany, krzywdzony świat pracy i żądają dla niego szacunku i praw. Z nim się sprzymierzają...

– Was obchodzi ta jedna grupa ludzi, o nich tylko zdolni jesteście myśleć. Stwarzacie ludzi uprzywilejowanych...

– Hubert! – głos Stacha zabrzmiał wyrzutem. Mocnym ruchem pchnął ramy okienne, aż się rozwarły szeroko i stał, czarna sylwetka podana wprzód, ku zorzy światła płynącej z dalekiego horyzontu.

– O to ja uprzywilejowany – szepnął – oto moje i moich nadmierne żądania: otworzyć szeroko okno robotniczej izby, wziąć w płuca świeży powiew, odetchnąć oddechem całego społeczeństwa. Niedozwolony przywilej trzech czwartych ludności... Ej, Hubert, co ty wiesz...

Hubert się zachnął. – Nie! zrozum mnie, moje stanowisko. Zwyczajne, proste. Uznaję ludzi. A czy to będzie robociarz, czy urzędniczyna, czy człowiek na wysokim stanowisku – to obojętne. Jego trzos nie stanowi wartości, przynajmniej dla mnie. Może dla innych...

– Dla innych? Dla świata – tak! Świat tak jest dziś urządzony, że dla Człowieka przez wielkie „C“ nie ma tu miejsca. Nie ma tu równych dla wszystkich szans rozwoju kulturalnego i materialnego jednostki: Te równe szanse, równy start – muszą być osiągnięte...

Hubert nie słyszał. Głosił: – ... zamiast otwierać tu tęsknie okna izby, czyż nie lepiej ruszyć z pięścią w świat? Cenię najwięcej tych, którzy nie tkwią bezmyślnie w marazmie, w zubożeniu, którzy za wszelką ceną chcą się doskonalić. Wierzę w ludzi, w pojedynczych, nie w masy, partje, klasy czy jakieś społeczeństwa, których właściwie nie

ma... Człowiek wartościowy i dzielny, oto symbol ludzkości, a nie suma niewiadomych wartości.

Ba, ale i oni już nie słuchali. Głosili swoje: obowiązek jednostki wpływania na gromadę, aby takie ustanowiła sobie prawa, które wszystkim niosą możliwość dążenia do postępu. Które nie pozwolą na wiązanie z faktem pracy fizycznej – upokorzenia, z „niskim” urodzeniem – trudów nad miarę w dążeniu do świata kultury, z trzosem – poszanowania i wpływów, względów i urzędów.

Ani spostrzegli, że o jednym i tem samym mówili. Tylko jedni z jednego patrzyli końca, a drudzy z innego. Dopiero po chwili zdali sobie z tego sprawę, już po dyskusji.

Stach, podniecony dyskusją, wyszedł z Hubertem, aby go odprowadzić i dokończyć niedopowiedziane myśli.

– Wiesz, – rzekł, gdy zaczerpnęli świeżego powietrza, – że te pewne spory ideologiczne w harcerstwie, które się toczą między dwoma prądami, – oczywiście mam na myśli tylko te uczciwe strony ścierające się...

Wykluczając ową podziemną robotę konspiracyjną? – roześmiał się Hubert.

– No, właśnie mówię, że jeśli nie brać pod uwagę takich typków, co to w gruncie rzeczy te spory

ideowe w harcerstwie nie toczą się między lewicą i prawicą...

– Pewnie, że nie, Stach! czyż między nami był spór polityczny?

– A jednak nie jeden z pozoru tak by go określił. A ja powiedziałbym, że to są spory między instruktorami, którzy biorą chłopca wraz z jego stosunkami społecznymi, wśród których żyje i żyć będzie w dorosłości, a tymi, którzy go ujmują w oderwaniu od społeczeństwa.

– Raczej uzupełнилbym, że to spór między takimi którzy są wsłuchani w to, jakich ludzi społeczeństwo potrzebuje, a tymi, którzy są wpatrzeni w samego chłopca, w jego potrzeby i im chcą służyć.

– Można i tak. Spór „społeczników” z „psychologami”, tak można określić – Stach zamyslił się, a potem powtórzył z mocą: – Tak, to nie są różnice czysto polityczne. Naprzykład słyszałem, że w owym znanym klubie instruktorów warszawskich, który tak walczył o czynnik społeczny i postępowy w wychowaniu, członkowie wcale nie byli jednego pokroju politycznego. Byli również ludzie i prawi-cowych poglądów. Tylko wszyscy zetknęli się w swej pracy z chłopcem ze szkoły powszechnej i z pozaszkolnym, pracującym lub bezrobotnym i przekonali się, że nie można go wychowywać aspo-

lecznie, wyobrażać sobie, że on jakimś cudem nie widzi, wśród jakich warunków żyje, a potem na tem złudzeniu budować programy harcerskie.

– No, nasz program pracy powstał ze współpracy nas obu. Dwóch autorów go tworzyło. Z których jeden ma bzika społecznego, a drugi – bzika indywidualizmu, czy psychologizowania, czy jak tam chcesz to nazwać.

I dlatego ten program działania tak chłopaków bierze! – roześmiał się pogodnie Stach.

Wciągnęli głęboko do płuc powietrze. Już zlekka, sekretnie pachniało wiosną.

W BÓJ NAS POWIODĄ ZWYCIĘSTWO I MŁODOŚĆ.

W wiosennem słońcu, w zapachu rozgrzanej, parującej wilgocią ziemi, w zieleni tryskającej z pąkowania – było coś bujnego, co rwało tamy w człowieku, oczom kazało biec w dal a myślom szumieć jak górski potok, spieniony i aż niepokojący zestawieniem tego niepohamowanego pędu z niedawną martwością zimy.

O tym właśnie mówili z sobą Hubert i Adam.

Wracali niedzielnym popołudniem z otwarcia „pokazu wystawowego” urządnego przez „Harcerski Ośrodek Pionierski” im. Stefana Żeromskiego”. Na temat: „położenie młodocianych w Polsce”. Śmiały zamysł garstki „ósmaków” stał się faktem. Wystawa udała się. Poprzez prymitywność środków, przez nieudolność wykonania, przez naiwność nawet niektórych fragmentów – przebijiała tężyzna tej roboty.

To nie była zabawka. To był krzyk młodzieży, która obudziła się z martwoty, rozdarła zasłonkę na-

rzuconą na smętną tajemnicę jej losów przez porządek społeczny i ukazała się brutalnie naga, taka, jaka jest w rzeczywistości.

Mieli jeszcze przed oczyma owe eksponaty, które niespodzianie wyrosły wagą swego znaczenia ponad wszelkie statystyki, zestawienia, sentencje: ów skromny arkusik: „co dzieje się z wychowankami pewnej klasy szkoły powszechnej w rok-dwa-trzy po skończeniu nauki“; ankietę przeprowadzoną (zresztą przy współudziale „czwórki“) wśród młodzieży w pewnej odosobnionej grupie budynków Pawłowa. Albo owe cyfry, że taki to a taki procent dzieci w szkole powszechnej pojony jest stale alkoholem. Bezpośrednia i złowroga prawdziwość tych danych sprawiała, że wyrwane z całości fragmenty górowały nad ogólnym ujęciem spraw zasadniczych: rzekomej niepotrzebności młodych sił roboczych, niedostępności szkolenia się do zawodu, zamknięcia w zabitej deskami, a nad miarę przepelnionej chałupie wiejskiej; przesłaniały (a może właśnie ilustrowały) odcięcie młodzieży od światła kultury, od niesfalszowanego życia organizacyjnego.

W dziwnym zestawieniu stały obok siebie eksponaty blahe i zasadniczej wagi. Widocznie w oczach młodości inaczej się szeregowały, niż się zdawało dorosłym. Więc wielka piłka futbolowa i

gwizdek sędziowski urosły do rozmiarów jakiegoś symbolu niezależności młodych i ich prawa do rozwoju po linii własnej, nienarzuconych dążeń i zainteresowań. A obok niespodziewanie wylaniał się papierowy kawaler tonący w powodzi „Tajnych Detektywów“, „Światów Przygód“, „Wolnych żartów“ lub mdłych piśmideł „dla młodzieży“, daremnie wołając o własne pismo.

Football i czytelnictwo – gdzie Rzym, gdzie Krym? a przecież...

Musiało jednak być coś z prawdy w tym „pomieszaniu pojęć“, bo Adam, prawdziwy termometr nastrojów młodzieży, entuzjasmował się niesłychanie tem, iż jako główne działo przeciw klęsce bezrobocia młodzieży organizatorzy wystawy wysunęli śmiejące się z fotomontażu twarze młodocianych członków spółdzielni instalacyjno-monterskiej, wytropionej w Pawłowie przez „ósmaków“ w czasie jednego z wywiadów. Śmiały się twarze, śmiech widniał na fotografiach warsztatów harcerskich: narciarskiego i skórzanego, zdawał się wydobywać z ich wyrobów, radością dudniło stoisko „Sami Sobie“ poświęcone zimowisku „ósemki“. Śmiały się oczy widzów do planów i modeli ogródka jordanowskiego montowanego przez harcerzy.

Adam entuzjasmował się takim postawieniem

sprawy. I jeśli „ósmacy“, urządzając już teraz, zamiast dopiero za rok swój obecny „pokaz wystawowy“, chcieli przez to pociągnąć innych do współdziałania w zorganizowaniu w przyszłym roku wielkiej wspólnej wystawy o „człowieku pracy w Polsce“, któraby przemówiła głośno do wszystkiej młodzieży w mieście – to osiągnęli swój cel. Adam był zaagitowany do tej roboty: jego pluton przystąpi do niej na mur. Adam był pewny i innych drużyn, już snuł plany współpracy.

– To pójdzie jak lawina! – wykrzykiwał – to trop, wiodący na właściwy, prawdziwie harcerski szlak.

– Och, tak – przytwierdził mu Hubert – ale to nie będzie łatwa droga. Tego, Adam, musimy być świadomi. Wprowadzamy chłopców na trudny szlak. Stosowanie zasad harcerskich jest nietrudne, póki się jest małym i obraca się w światku najbliższego otoczenia! Ale później!

– Tembardziej trzeba je stosować!

– Tembardziej! ale to już jest walka. Do walki trzeba sił...

– Czy ich nie mamy?

– Nie wiem; jeszcześmy nie spróbowali.

– Ale „ósemka“ zrobiła pierwszą próbę.

– I zobaczysz, jakie będzie zgorszenie w mieście. Już były pierwsze oznaki.

Przypomnieli sobie w tej chwili zagadkowe uwagi niektórych członków Kół Przyjaciół, zaproszonych na otwarcie wystawy, wyraz ich twarzy, gdy pewien gruby jegomość, ubrany w czarny, niepodobny do innych strój, z oburzoną miną wyniósł się demonstracyjnie, tknięty do żywego którymś eksponatem. Zapowiadało to burzę w szklance wody.

– Ech, na to nie można uważać! Zawsze każda nowość z początku budzi zgorszenie.

– Pewnie, że nie będziemy się cofać. I wogóle nie do tego zmierzam. Chcę powiedzieć, że jeżeli postawiło się pierwszy krok, to nie będzie można nie postawić następnych, a te wymagają już dużo śmiałości i umiejętności.

– ?

– Czyś zauważył? były tam na wystawie takie dwa rysunki. Uczeń w gimnazjum i uczeń w szkole dokszałcającej. Pierwszy siedzi przy nauce, a ma za sobą w tym dniu tylko przespaną noc, śniadanie i przemarsz do szkoły. A drugi drzemie w ławie, bo od szóstej rano jest na nogach, idzie do roboty, o czwartej wraca biegiem do domu na obiad, uczy się i na kwadrans po szóstej lub po siódmej wali do szkoły, z której wychodzi o pół do dziesiątej. Tak

przez cztery dni w tygodniu, a piąty przeznaczony na PW.

– Pamiętam to. Więc co?

– Więc Stach myśli o tym, aby zrobić wielki krzyk. Żeby czas nauki był młodocianym wliczony do czasu pracy! Żeby Harcerstwo nie tylko u nas, ale w całej Polsce ujęło się o to. Jest nawet jakieś prawo w tej sprawie, ale jak to zwykle: jedne przepisy już nieważne, inne jeszcze nieważne, a młodzi ludzie w dalszym ciągu drzemają sobie w szkole.

– I pewnie. Po ośmiu godzinach pracy...

– I otóż, Adasiu drogi, to jest przykład, że kto powiedział A, ten musi powiedzieć B. Jak zaczęli o „położeniu młodocianych“, to muszą i o wliczeniu godzin nauki do czasu pracy! Któż inny, niż organizacja młodzieży, może się o taką rzecz upomnieć?! Tymczasem jak widzisz, już „A“ budzi niezadowolenie, a co dopiero będzie z „B“?

– Co będzie z „B“? – podchwycił Adam – ano, to nadstaw ucha!

Byli pod murami szkoły na przedmieściu, gdzie ów uparty, stworzony przez Rąbiela, zespół teatralny „ósemki“ uświetniał dzień otwarcia wystawy przedstawieniem „Śmierć Okrzei“. Publiczność przedmiejska zalegała salę do ostatniego miejsca. Właśnie opadała kurtyna. Runął huragan oklasków.

Ale ponad jego gwar wzbił się śpiew. To śpiewała sala, nie tylko chór harcerski, śpiewała młodzież niezrzeszona:

*...w bój nas powiodą
zwycięstwo i młodość...*

Hubert usłyszał odpowiedź na swe pytanie. Niedługo miał ją wypowiedzieć sam. Tymczasem zaś wraz z Adamem wtopił się w melodię pieśni, którą znał z filmu, kiedyś oglądanego: „Świat się śmieje“.

*....śpiewają pieśni i wioski i siola,
i kocha pieśń wielkich miast szary tłum...
...śpiewamy więc pieśń wesolo, jak dzieci.
pośród trudnego dziś boju o byt,
niechaj pieśń nasza na krańce dziś leci,
nam z nią jaśniejszy i lepszy idzie świt...*

*

* *

Za drzewami drogi szumiało wschodzące zboże a powietrze rozprężonego popołudnia dusiło obydwóch: Adama i Konrada. Skończyli przed chwilą rozmowę i szli bez celu odpoczywając od tego natłoku myśli, który w gorącej dyskusji wyrzucili z siebie.

Niewiadomo kiedy doszli do płotu, ciągnącego się długą linią. Za płotem słychać było turkot wózków, szmer sypanego żwiru, okrzyki robotników. Adam podciągnął się na rękach, spojrzął za płot i po chwili siedział już na wierzchu. Konrad ironicznie spojrzął na towarzysza, potem odezwał się:

– Możebyś już zeszedł, co? Przypomniał ci się okres szczenięcy?

– Właż Konrad, zobaczysz robotę drogi.

– Zgłupiał chłop, tu robią drogę!?! Idiota!

– Tylko nie idiota! Właż to zrozumiesz!

Zaciekawiony Konrad wspiął się na płot i patrzył. Robotnicy w długie drewniane formy wlewali rozrobiony beton, wkładając na boki i szczyty dwudziesto-centymetrowe pręty żelazne.

– Co to ma być? – szepnął Konrad.

– To są płyty, które będą wyłożone na szosie prowadzącej do naszego lasu.

– No, a poco te kawałki żelaza?

Odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion.

– Może to ma wzmocnić płyty? – rzucił w przestrzeń Konrad.

– Co? takie kawałki pomogą?

Gadaliby pewnie w ten sposób dłużej, gdyby nie jakiś dozorca, który kazał im zejść z płotu.

Wracali z powrotem do miasta.

O całej tej sprawie zapomniał już dawno Konrad. Ale przeznaczenie widocznie inaczej chciało.

W kilka dni potem, gdy kilku chłopców siedziało w izbie, przekonując Huberta co do programu wspólnej wycieczki z harcerkami – wpadł do izby Adam.

Dyszał ciężko, a twarz miała wyraz ponury.

– Żebym ja go złapał, żebym... – charczał, łapiąc ogromnymi łykami powietrze.

– Uspokój się! Co się stało? – zapytał Hubert.

– On, on, – ten drań...

– Konrad, daj mu wody. Niech ochłonie!

Woda okazała się pomocną.

– Znacie Zaworowicza? No, ten, który tak pomógł przy urządzeniu Ogródka Jordanowskiego, a za to chciał, byśmy ogłosili wszew wobec, że to on zrobił.

– No, to co?

– Takiego lisa i padalca jeszcze, jak żyję, nie widziałem.

– No?!

– Pamiętacie drogę w stronę lasu i Jedynej Sosny? Otóż on za grubą gotówkę ma zrobić drogę z płyt betonowych do Woli. Robi, a jakże. Kilka dni temu oglądaliśmy z Konradem płyty. Byliśmy zdziwieni, poco do płyt na końcach powstawiane są ka-

walczki żelaza. Ale zapomniałem o tem. Aż przed godziną było u nas w domu kilka osób. Był między nimi inżynier drogowy. Omawiano tę nową drogę, że to teraz przyjemnie będzie przejechać się powozem lub samochodem. Wówczas spytałem się inżyniera, poco są te kawałki żelaza. Powiedział mi, że przywidziało mi się, ponieważ tam napewno wkładają duże dwumetrowe pręty żelazne, że takich prętów wchodzi dwadzieścia na każdą płytę. Na to mu odpowiedziałem, iż nie myślę się. A on: „Adam jesteś młodym, a opowiadasz głupstwa. Wynika z tego, że oskarżasz pana Zaworowicza, iż robi zwykły szwindel”. Nic na to nie powiedziałem, tylko przyłeciałem tutaj.

– Odrazu nie podobał mi się ten Zaworowicz – dorzucił Konrad.

– Podobał się, czy nie podobał – to głupstwo. Trzeba zbadać tę sprawę. Tarzan, przyjechałeś na rowerze? Ganiaj na teren tej betoniarni, a my się naradzimy – zawołał Hubert.

Za chwilę za Tarzanem trzasnęły drzwi. Chłopcy siedzieli nie pewni.

– Ale jeżeli to jest nieprawda, co widział Konrad i Adam? – zapytał Krzysiek.

Hubert nic na to nie odpowiedział. Zamyślonym

wzrokiem wbił się w niebo poza oknem. Zastanawiał się.

Chwilę milczenia przerwał Adam:

– Musimy w tę sprawę wejść. Musimy wykryć szwindel!

Krzysiek był temu przeciwny:

– Po co, od czego jest policja, władze? Nie ma potrzeby mieszać się w to. Tyle mamy spraw własnych. A skąd pewność, że Adam powiedział prawdę?

– No, to dlaczego czekamy na Tarzana? – odrzucił Hubert. – Mylisz się, Krzychu. Choć rozmiem cię. My musimy się zająć tą sprawą. Może nie całą sprawą, ale musimy wskazać władzom bezpieczeństwa, iż dzieje się niedobrze, że ktoś poprostu okrada powiat.

Czekali znów długo w milczeniu. Wreszcie przybył Tarzan. Był na miejscu, wypytywał nawet robotników, ale ci nie umieli mu nic powiedzieć, albo raczej nie mogli, bo natychmiast wdał się majster i wyrzucił Tarzana z betoniarni.

Teraz zaczęli planować, budować chytrą zastawę. Więcej nikogo nie wtajemniczyli. Sami mieli się zająć tą sprawą. Następnego popołudnia Hubert myszkował wokół betoniarni.

Na drodze spotkał swojego kolegę z gimnazjum.

W pobrudzonym ubraniu nie poznałby go, gdyby nie to, że tamten krzyknął: Hub!

Przywitali się serdecznie, rozpoczęła się pogawędka; prowadzona w stylu telegraficznym. Kolega pracował w betoniarni jako magazynier. W tym dniu wyjeżdżał dokądś po nowe zapasy cementu. Hubert z zaciekawieniem wypytywał się o robotę, o przygotowanie płyt. Wyraził swe wątpliwości co do trwałości tychże płyt. Tamten roześmiał się:

– Mój drogi! Dla komisji płyty są robione specjalnie, posiadają wewnątrz przepisaną ilość prętów żelaznych. Ale te, które się robi na drugiej zmianie, to są płyty, w które wkłada się jedynie kawałki żelaza.

– No i co, długo będą trzymać? – zapytał Hubert.

– E, nie, po niedługim czasie popękają. Ale to zawsze można wyrócić kota ogonem, że to nasze fury, wozy na żelaznych obręczach przyczyniły się do tego, no i inne czynniki. To jest głupstwo! I tak co roku szosy się reperuje. więc do takich reperacji przyzwyczajają się ludzie.

– No, to przecież zwykła granda! – odezwał się oburzony Hubert.

– Wielkie coś! Wiadomo, że granda, ale co na to poradzisz?

– Trzeba dać znać do prokuratora, trzeba...

– Mój drogi, – tamten poklepał Huberta po ramieniu. – Jakież ty jesteś dziecinny. Kto ci uwierzy? Prokurator? Skąd? Przecież komisja żadnych braków nie stwierdziła. A zresztą Zaworowicz – tóż to człowiek, który jako społecznik i wogóle ma nieskazitelną opinię. No, ale muszę cię żegnać. Mam być u Zaworowicza przed ósmą po instrukcje, bo potem on ma konferencję w domu z drugim „rekinem“.

– Co za rekin? – zapytał Hubert.

– No, z Zaleskim. Obydwaj przecież mają ten interes. Tylko bardzo cię proszę, Hub, nie mów o tych płytach. Jeszcze wyleją mnie z posady! No, do widzenia!

– Do widzenia! – odrzucił machinalnie Hubert.

Stał chwilę, nie zdając sobie sprawy, że jest już w śródmieściu, że ludzie przechodzą koło niego, zdumieni zamarłym w bezruchu młodzieńcem.

W Hubercie wszystko wrzało. Jakto? Ludzie widzą zło i nie chcą go zwalczać? Boją się nawet tego? więc zawsze, zawsze ten zły bożek jest zwyciężcą i to jest możliwe? Wszędzie, we wszystkim? Niedoczekanie! wyrwało mu się z ust.

Pobiegł do chłopców. Ściągnął do siebie Tarzana, Adama, Konrada i Krzycha. Opowiedział im wszy-

stko. Jak jeden mąż postanowili iść do prokuratora.

Była już chyba szósta wieczór. Pokojówka z trudem wpuściła chłopców do mieszkania prokuratora. Musieli długą chwilę czekać.

– Czem mogę służyć? – zapytał ich w swoim gabinecie prokurator.

Posypały się słowa bezładne, chaotyczne, oskarżające. Początkowe zainteresowanie prokuratora przemieniło się w gniew, w oburzenie.

– Panowie, jesteście smarkaczami. Komisja starostwa stwierdziła, że wszystko w porządku, oglądali ludzie fachowi, a wy będziecie sędzić?! Lepiej do nauki się weźcie, a nie sądźcie ludzi takich jak pan Zaworowicz. Dla tego człowieka mam pełen szacunek, ugruntowany na faktach. Wstyd panowie! A pan, panie Szott, jest starszym i zachciewa się panu jakichś bzdur awanturnicznych. Oto skutki czytania kryminalistycznych powieści.

Chłopcy byli bladzi z oburzenia. Hubert z ledwością zdławionym głosem wyraził żal, iż „zajął tyle czasu panu prokuratorowi”.

Wyszli. Przez chwilę nie mogli dojść do siebie.

Co robić, kogo przekonać?

Szli w milczeniu. Każdy z trudem rozgryzał ten ciężki problem.

– Czekaj, Hub, coś ty powiedział o jakiejś konferencji Zaworowicza z Zaleskim?

– Dziś o ósmej, u niego w domu. No, bo co?

– Jakto? Możemy podsłuchać i to będą argumenty nie do zaprzeczenia! – zawołał Krzysiek.

Hubert z radością klepnął Krzycha po ramieniu. – Masz rację! Jazda do domu, przebierzcie się na cywila. O ósmej na rogu Jesienawej!

Rozbiegli się, uradowani, że sprawa nie przedstawia się tak tragicznie.

Jedynie Huberta naszły refleksje. Czy on ma prawo wciągnąć chłopców w taką sprawę? Czy nie powinien chłopców odsunąć i samemu robić? Nie. Trzeba, by i oni nauczyli się walczyć ze złem – coś szepnęło w Hubercie.

Uśmiechnął się wreszcie do swoich myśli i poszedł do domu.

Było dopiero ciemnawo. Pachniało wszędzie kwiatami, bzem. Przejechało auto i pozostawiło za sobą smugę dymu i zapach benzyny. Z za rogu ulicy ukazała się postać jakiegoś oberwańca. Za nim wyszło i kilku innych. Przeszli obok jakiejś pary, zajrzeli przez kraty do ogrodu miejskiego, któryś z nich splunął na drugą stronę ulicy. Pokręcili się, pohłasowali i w pewnym momencie zniknęli za rogiem.

Ale nie zupełnie. Przyczaili się skrycie i obserwowali ulicę.

Znowu przeszło kilka osób, od Jesionowej szybkim krokiem szedł młody mężczyzna, postać chwilę przed furtką Nr. 32 i wreszcie wszedł.

– To on, ten mój kolega! Chodźmy!

Posunęli się bliżej. Było już ciemno, a czapki nasunięte na oczy nie zdradzały twarzy. Krzysiek wspiał się na parkan, obserwował oświetlone okna willi.

– Pss! – syknął Krzych.

Przyczaili się przy kratkach oplecionych bogato dzikiem winem. Ten sam mężczyzna wyszedł z furtki i pogwiżdżając oddalił się. Chłopcy rozejrzeli się naokoło i poczęli się szeptem naradzać.

– Ty Krzysiek, włącz od tamtej willi do ogrodu i rozejrzyj się w rozkładzie mieszkania! Konrad z Adamem na tamtą stronę ulicy, Tarzan kręć się tutaj, a ja wejść do ogrodu – szeptał Hubert.

Po chwili cisza zaległa uliczkę, tylko jakiś ciemny typ włóczył się pod bramą.

Cisza stała się denerwująca, pełna przedsmaku tego, co się miało dziać.

W oknach willi widać było światło, cienie osób znajdujących się w pokoju wydłużały się, nikły.

Od Jesionowej znowu słyszeć kroki. Chłopcy

wyżejają słuch i patrzą z napięciem w tym kierunku. Ulicą idzie wysoki, barczysty mężczyzna z wydętym do przodu brzuchem. Sunie butnie, pewnie.

– To Zaleski – szepcze w ucho Adama Konrada.

Dochodzi do furtki willi, przy której krąży Tarzan, i naciska dzwonek. Z ogrodu słyszeć trzask drzwi, potem kroki na chodniku.

– O, to pan! Dobry wieczór panu! Już Marjan myślał, że pan nie przyjdzie. Będziecie się mogli swobodnie nagadać, bo ja wychodzę zaraz.

– Pewno na zebranie – pani dobrodziejko – grzmi już z głębi ogrodu tubalny głos Zaleskiego. Potem tylko powtórny trzask drzwi i hałas w domu. Chłopcy nadal czekają. Po chwili w furtce ukazują się białe kostjum żony Zaworowicza. Jeszcze czekają chwilę. Kiedy niknie za rogiem ulicy, z ogrodu słyszeć ciche miauknięcie Huberta. Podchodzą do płotu. Hubert z tamtej strony otwiera furtkę, wsuwają się cicho jak koty. Idą za Hubertem – raczej jest to skradanie się. Przyczaili się w krzewach, Tarzan tymczasem sprowadza Krzycha.

Z tamtej strony jest ciemno – opowiada Krzych – ale jak siedziałem na płocie to widziałem gabinet

Zaworowicza. Jest na pierwszym piętrze przy tym balkoniku.

Chłopcy patrzą w tej chwili na oświetlone okno. Widzą tam cienie poruszających się dwóch mężczyzn, chcieliby za wszelką cenę dostać się tam i słyszeć rozmowę obydwóch rekinów. Hubert coś kombinuje przez chwilę i wreszcie szepcze:

– Jeden stanie drugiemu na ramionach, na balkonik wejdzie Krzych jako najmniejszy, a z nim Tarzan, musicie słuchać i w miarę możliwości notować słowa obydwóch.

Stają pod murem domu. Najpierw Hubert, nań wchodzi Adam, a po tych dwóch, przy pomocy Konrada wspina się Krzych i Tarzan.

Huberta bolą ramiona i ręce, zaparł się w ziemię i zacisnął zęby.

Wreszcie obydwaj stoją na balkoniku. Sprawują się cicho, bez szmeru.

Tamci dwaj widocznie palą cygara, bo zapach przenika aż na balkon. Dobrze, że najbliższe okno jest otwarte. Słyszeć dobrze rozmowę. Tarzan ścisła notes w rękę i czeka na ważne słowa.

– ...ostatnia wreszcie dostawa cementu da nam mały zysk, bo Karnecki niezbyt dużo mógł dać tego drugiego gatunku, ale i to zawsze trochę nam kapnie.

– No, panie Józefie, a pierwszy transport obliczył pan?

– Nie jeszcze, ale będzie ładnych parę tysięcy. Dobrze, że Wojdakowski był w tej starościńskiej komisji. Ślepy bałwan jest zupełnie. Jeszcze jak chwalił, że tyle prętów w płytach. To dobre!

Obydaj śmieli się głośno, po chamsku.

– To i dobrze. Najważniejsza rzecz – resztę pustych płyt usunąć.

Przez chwilę słyszeć szelest papieru, potem rozwijanie jakiegoś rulonu. – O, tędy puścimy fury, zamówiłem już je na drugą w nocy jutro. A tę resztę...

Dalszego ciągu chłopcy nie mogą dosłyszeć, mimo że natężają słuch, ile tylko można.

Więc to jutro? – no, to dobrze!

Zaworowicz podchodzi do okna, wypuszcza kłęb dymu z ust.

Chłopcy przytulili się do muru. Ale nic! dobrze, że nie wyjrzał. Serca walą mocno, zda się, że wlaży pod gardło i tu rozsadzają tętnice.

– Panie Marianie, można zamknąć okno, bo jakoś mi się zimno robi.

Słyszeć trzask zamykanego okna, potem cisza. Nic nie słyszeć. Okno szczelnie zamknięte nie prze-

puszczają głosu. Z zalem chłopcy zląą po zaimpro-
wizowanej drabince. Są już na dole.

– No i co?

Zamknęli okno, więc mało zanotowaliśmy, ale i to
ważne.

– Jazda! Wracamy! Ale nie tędy, jeszcze kto nas
od ulicy zobaczy!

Przechodzą alejką, potem przełażą przez plot i są
już w jakimś ogródku. Uszli kilka kroków, gdy na-
gle zniemacka, ukryta za krzewami, wysuwa się ja-
kaś postać.

– Stać, a to co? Złodzieje? Ręce do góry!

Chłopcy stają. Ręce posłusznie podnoszą się do
góry. Po głosie poznali Witkowego ojca.

– Byle nie poznał, byle nie poznał! – szepczą do
siebie.

Nagle latarka oświetla ich twarze.

– A! A to co! Konrad! a cóż wy tu robicie, co,
kwiaty kraść przyszliście, czy co? Co to jest? Co
wyście robili tam w ogrodzie pana Zaworowicza?
Konrad?

Chłopak stoi już z opuszczonymi rękoma: to po-
sądzenie go o kradzież, pali jak ogień. Nie, nie wy-
trzyma dłużej!

– Słuchaliśmy, jak te dranie planują oszustwo! –
wyrzuca z siebie.

– Jakie dranie, co, pan Zaworowicz, może po-
wiesz? – głos Witkowego ojca drży oburzeniem
i gniewem.

– To wy porządnych ludzi szpiegujecie, w szpi-
cli się bawicie? i to mają być uczniowie! Porozma-
wiać muszę z twoim ojcem. Do czego to podobne!

Jak dziwnie głos tego człowieka podnieca Kon-
rada.

– A co pan myśli? może nie jest draniem ten
tam – i macha palcem w stronę plotu – co, może
nie okrada nas wszystkich?!

– Ach, wy, smarkacze, marsz mi stąd! Żeby mi
tu wasza noga więcej nie pozostała, wy, szpicle.

Chłopcy odchodzą, dygocąc ze wzburzenia.

– Tak – po chwili na ulicy mówi Hubert – ju-
tro całe miasto będzie mówić, że Konrad z jakimiś
szczeniakami szpiegował i posądzal „porządnego pa-
na Zaworowicza.”

– Jeszcze te dranie dowiedzą się i usuną ślady
swego świństwa.

– Co robić, co robić? – szepcze trwożliwie Kon-
rad.

– Pokażcie no te notatki z rozmowy tamtych.

Przeglądają je w kącie ulicy pod latarnią, wy-
łapują z tej bazgraniny myśli, Tarzan tłumaczy im
niektóre wyrazy. No trudno – trzeba od tej chwili

pilnować na zmianę betoniarni. Nie możemy pozwolić na to, by nam uciekli. Po chwili chłopcy postanawiają, że nie wrócą do domów i przez jednego z kolegów zawiadamiają swych rodziców o swej nieobecności. Spożywają kolację w pośpiechu u Huberta i wynoszą się kolejno w stronę betoniarni. Jest już dobrze późno i spać się chce na potęgę.

W mieście następnego dnia burzę rozpętał ojciec Witka. Sprawa przedstawiała się niejasno, bo żadnego z chłopców nie było w domu. Cały Pawłów trząsł się z oburzenia na chłopców, którzy śmieli posądzać i to jeszcze kogo.

A tymczasem chłopcy, ukryci w chałupie pobliskiej betoniarni, obserwowali przez okno dymnika ruch przed szopami. Wpadł Zawarowicz, narobił hałasu, rozmawiał z inżynierami, w formy wkładano znów długie pręty. Przed wieczorem zajęchało kilkanaście furmanek, koniom wsadzono na łby worki z obrokiem. Zanosiło się na długie czekanie. W tym czasie Tarzan sprowadził rower na wszelki wypadek i czekali. Przegryźli coś niecoś, teraz dopiero odczuwali zmęczenie, a zniecierpliwienie i zdenerwowanie przeradzało się w apatię. Chwilami senność ogarniała całą bandę „utrapięńców”.

Była już późna godzina wieczorowa. Właściciele chałupy dawno pokładali się spać. Z dołu dochodzi-

ło przeciągłe chranie. Hubert wychylił się przez dymnik i wpił się oczyma w ciemność. Do uszu jego doszedł hałas przesuwanego wozów i ciche pokrzyki woźniców.

– Oho, coś się zaczyna! Krzych, skoczno zbadać sytuację.

Znowu wracał niepokój czekania. Bali się wszyscy o Krzycha. Czy go nie złapią, a może już go złapali! Co taka cisza? Serca łomotały im niespokojnie. Ale po chwili na szczeblach drabiny wiodącej na strych ukazał się Krzysiek.

– Ładują pierwsze wozy, otworzyli już bramę od Woszczowej, – wyrzucił zdyszany.

– Chłopcy, złazimy na dół! – krzyknął Hubert. – Za chwilę zniknęli w ciemności. Szli trzymając się za ręce. Przeszli dziedziniec, pocharatali nogi o krzaki i byli niedaleko bramy. W tym czasie bardzo cicho zajęchało ogromne ciężarowe auto i wtoczyło się na plac betoniarni. Hubert dłużej się nie zastanawiał. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka i zdecydował: Krzysiek z Adamem przy bramie. Uważajcie dobrze i słuchajcie, w którą stronę ruszą wozy! Tarzan zostaniesz i będziesz obserwował całą budę. Konrad, wal za jakimś czwartym, piątym wozem i spróbuj gdzieś po drodze zatrzymać fury. Ja jadę do prokuratora!

Chłopcy rozpelzli się w ciemności, a Hubert wrócił biegiem do chałupy, wymacał pociemku rower stojący przy ścianie i za chwilę pędził co sił do miasta. Naturalnie, jak się ma szczęście, to się ma! Prokuratora nie było w domu, poszedł do klubu. Hubert nie zastanawiał się długo. Ostatnim ruchem oparł się o ścianę przedpokoju klubowego i czekał zdyszany, aż odciągną prokuratora od stolika. Prokurator uśmiechnięty, cieszący się z dobrej zabawy, ze zdziwieniem spojrzął na ubrudzoną twarz Huberta. Wyjaśnienie sprawy było krótkie. Jeszcze tylko prokurator, nakładając palto, powiedział: – panie Szott, w razie fałszywego podania wiadomości grozi panu ciężka kara!

– Proszę się nie martwić, wiem!

Za piętnaście minut pędzili autem policyjnym przez zamarłe ulice Pawłowa. Wyjechali na szosę. Wiatr zimny, przejmujący świstał w uszach. Blisko byli już betoniarni. Przyciemnili światła, motor cicho pracował. Wjechali w otwartą bramę od strony Woszczowej. Stróż widocznie wziął ich za auto Zaworowicza, bo ich nie zatrzymał. Dojechali przed słabo oświetloną szopę. Akurat ciężarówkę wytaczano z szopy. Widoczne były płyty betonowe przetkane słomą wewnątrz wozu.

Prokurator wyskoczył z auta i z policjantami szyb-

kim krokiem posuwał się do rozdygotanego motoru ciężarówki. Hubert gwizdnął przeciągle na palcach. Natychmiast od strony bramy dało się słyszeć tupot biegnących. Do siadającego w aucie szofera człowiek w podartym ubraniu krzyczał polecenia. Auto ruszyło. Nieznajomy obejrzał się i zobaczywszy w świetle reflektorów umundurowanych policjantów skoczył na stopnie auta. Prokurator podbiegł bliżej. Nieznajomy pchnął go pięścią z całej siły, Ten zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie ręka Huberta.

W aucie widocznie zapomniano zapiąć klapę, bo ta z hałasem dudniła o koła. Wskoczyli do policyjnego samochodu. Ciężarówka wyjeżdżała już przez ramę, kolebiąc się mocno. W pewnym momencie jedna z płyt zesunęła się, z hukiem padając na ziemię. W świetle reflektorów widać ją było, leżącą na ziemi. Pęknięta na pół szczyrzyła pokruszone kawały betonu – bez żelaznych prętów.

No, proszę! krzyknął Hubert! – dojechali do płyty, która zatarasowała przejście. Do auta dobiegli chłopcy.

– No, to już chyba nie jesteśmy potrzebni. Tam przy piątej furze będzie nasz kolega, przywieźcie go panowie do domu! – Odsunęli kawały płyty. Auto ruszyło szybko, wznosząc za sobą ogromny tuman kurzu. Policjant, który został w betoniarni, odbierał

klucze od dozorczy. Chłopcy obejrzeni szopy, pokręcili się trochę po całym terenie.

– No, to pójdziemy! – Wolno wracali do domu. Oczy im się lepily od snu.

Gdy Hubert wyciągał obolałe nogi pod kołdrą i wreszcie czuł odpływające zmęczenie, uśmiechnął się i powiedział: – Aha! A kto miał rację! – Ostatni wyraz ledwo wyszedł mu przez usta.

Senność ogromna go zmorzyła i zasnął w tym czasie, gdy i reszta jego towarzyszy z przyjemnością zapadła w błogi sen.

Już zaczynało widnieć. Pierwsze koguty piałły rozgłośnie w sąsiednich podwórzach.

X

ŻOŁNIERSKA WIOSNA I OCZY SZEROKO OTWARTE

...zetknięcie się oddziałów rozpoznawczych obu stron. Wywiązał się szereg interesujących walk miejscowych, w których szczególną rolę odegrała broń pancerna. Walki te pozwoliły dowódcom obu stron na skierowanie głównych sił do przyszłej decydującej bitwy. Należy zaznaczyć, że służbę porządkową na skrzyżowaniach dróg na terenie manewrów pełnią umundurowani członkowie związku rezerwistów, a służbę gońców i łączności – harcerze. Oddziały witane są...

Pan Jawniewicz odłożył gazetę na stół, spojrzawszy z rozczuleniem na żonę i powiedział:

– Słyszysz, Alinko! Konrad dobrze się tam pewnie namęczy przy tych zwojach drutu. Hubert ich zawsze krótko trzyma i dużo wymaga, to też pewnie..

– Tak! pewnie przyjedzie wychudzony i zmęczony – szybko dodała pani Jawniewicz.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. Niech się smyki nau-
czą twardej szkoły życia.

– Tak, dobrze ci mówić... – westchnęła z żalem
matka Konrada.

*
* *
*

Konrad owinął się mocniej w kurtę z brezentu, podsunął skrzynkę pod ławkę i zamarł nadal w pół-
drzemce. Bidka turkotała łagodnie po piasku. Na
tle szarzącego nieba z ledwością widać było syl-
wetkę żołnierza woźnicy. Zwoje drutu, aparaty te-
legraficzne, drągi i plecaki chłopców zabrały dużo
miejsca w wozie. Chłopcy siedzieli skurczeni, z ko-
lanami zgiętymi prawie pod brodą. Do tego jeszcze
dołączał się chłód wiosennego poranka.

Biedki jechały jedna za drugą. W pierwszych je-
chali żołnierze, sierżant z PW i skrzynie, skrzynki,
w dalszych – Hubert i reszta chłopców.

Drzewa po bokach drogi i chałupy poczynały do-
piero przybierać na wyrazistości.

Hubert z ledwością dostrzegł wskazówki na ze-
garku.

Już powinno się zacząć! – szepnął do siebie.

Poprawił płaszcz, domacał się w kieszeni gwizdka

i czekał. Wózki poczęły przystawać. Jeszcze chwila-
mi skrzypiały szprychy i dyszle, konie, parskając,
machaly ogonami.

Cisza robiła się niepokojąca.

Od strony pola słyhać było sygnał podawany
przez coraz to inne gwizdki. Od ziemi zaczęły się
odrywać sylwetki ludzi. Ciężkim krokiem rozdudniło
się pole. Helmy zrosły się z bagnietami na tle sza-
rzącego horyzontu.

Piechota brała krok. Coraz dalej, coraz głębiej
w pole wrzynał się łańcuch tyralierzy. Z za krza-
ków wysypały się biegiem drużyny karabinów ma-
szynowych.

Z boku prychnął motocykl, zakrztusił się mie-
szanką i ścichł. Od motoru doleciał głos:

– Szott! rozkaz dla drużyny!

Hubert zeskoczył z fury i biegiem dopadł moto-
cykla, Rozdarł kopertę i wtuliwszy głowę w przy-
czepkę motocykla oświetlił latarką kartkę z rozka-
zem. Za chwilę był już przy swoich.

– Panie sierżancie, proszę czytać. Chłopcy, uwa-
ga! Sprzęt chwycić, grupami zbiórka!

Przy wozach zrobił się ruch. Szamotanie, brzęk
żelaza, ciągniętych skrzynek. W krótkich kurtkach
brezentowych chłopcy zwijali się szybko. Jeszcze
chwila zamętu. Wreszcie cisza.

Hubert szeptał z sierżantem, wskazywał palcem znikającą tyralierę piechoty. Odwrócili się do chłopów. Trzeba założyć linię do c. k. m.-ów na wzgórzu. Uwaga! Konrad ze swoimi biegnie z aparatem, Tarzan, rozwijaj linię, Koziołek, zaczniesz rozstawić stację nadawczą przed tą chałupą.

Wykonać rozkaz! marsz!

Ręce z trzaskiem osunęły się od daszków na szwy spodni.

Rozbili się na grupy. Po chwili słychać było komendę w poszczególnych grupach. Władek z Edkiem przesuwiał motocykl na skraj drogi. Zdala od strony lasu począł iść odgłos kanonady. Suche, urywane plaśnięcia, grzmot zbiorowych palb i ujadanie zaciekle karabinów maszynowych.

Konrad biegł ze swoimi. Wzgórze coraz bliżej majaczyło w czerni swych krzaków. Byli już mocno zdyszani, krótko, urywanie świszcząco im powietrze w piersiach. Rozstawili aparat i rozwijali szpulę w stronę drogi. Stamtąd biegł już Tarzan z kończącym się bębniem kabla. Chwila jeszcze i drut był połączony. Od c. k. m.-ów oderwał się pędem łącznik, zamachał w powietrzu kartką i wracał natychmiast schylony, garbaty od widocznego plecaka. Hallo, hallo! tu stacja przy.. płynęły słowa przez tubę. Krzysiek z niecierpliwością kręcił kołką, po-

dając sygnał. Chwilami pomagał sobie brzęczykiem. Z tuby lał się głos komendy. Sylwetki chłopców rozsywały się po całym terenie, ginęły na chwilę przy oddziałach, by zaraz powrócić. Obok Krzyśka siadł barczysty kapitan od c. k. m.-ów i dyktował tubalnym głosem rozkazy. Głos mieszał się i ginał w huku strzałów.

Dymy poczęły się unosić nad oddziałami.

Konrad leżał z boku na trawie jako pomocniczy i czekał. Kanonada strzałów cichła. Niedaleko poderwała się kompanja, przebiegła 200 m. i znów przywarowała przy ziemi.

Ręce splótł razem, oparł na napiętkach brodę i patrzył zdumionym wzrokiem na rozwijający się przed nim obraz bitwy „na niby“.

Zatonął w jakimś dziwnym, otumaniającym wspomnieniu. Gdzieś na błotach zachodniego frontu widział oczyma duszy zasypane okopy i rowy strzeleckie, wystające z pod ziemi bagnety i czaszki zabitych wybuchem granatów żołnierzy. Przypomniało mu się to straszne mauzoleum, w którego ścianach znajdowały się kości setek tysięcy walczących o własny kraj i przypomniał mu się ten młody żołnierz, zwisający na drutach kolczastych, nad błotem rozpaćkanej kredowej równiny. Przypomniało mu się i co innego. Tysiące wychudłych twarzy niewiado-

mych kobiet, suchym wyrazem rozpaczy szukające w ogromnych spisach poległych imion i nazwisk swych synów, mężów i braci.

Przypomniał mu się bolesny, ogromny huk armat, strzały i dziki, przeciągły krzyk konającego.

Rozpamiętywanie przerwało brutalne szarpnięcie.

Konrad, zasnąłeś? zwijaj linię, co, nie widzisz?! Konrad spojrział w pół przytomnie przed siebie. C. k. m.—y już się cofały. Piechota krok za krokiem wracała w stronę wsi, ostrzeliwując się nieprzerwanym hukiem ślepych naboii. Zdała od lasu ukazały się małe, kaśliwe tankietki.

Z drzeniem rąk i serc, chłopcy zwijali linię, zabierali cały sprzęt łącznościowy. Wiedzieli, że to nie wojna, a jednak.

Był w nich niepokój prawdziwych zdarzeń.

Biegiem przeszli łąkę, sprawnie złożyli sprzęt na wozy, motocykl znowu zaparskał. Wozy ruszyły z miejsca. Na łąkę szybko wytaczały się tankietki, pluły ogniem i dymem, w pędzie szalonym waliły wprost na drogę.

Żołnierze pokryli się w rowach za płotami, krzakami. Zdała szedł wolny, długi sznur nieprzyjacielskiej piechoty. Nagle na całej linii z okien dymników, z za płotów poczęły prażyć karabiny maszyno-

we. Trajkot ich stawał się coraz szybszy, donioślejszy.

Wozy łączności minęły wieś, gnały w kierunku dworu, gdzie widocznie były chorągiewki kawalerji, auta i sylwetki kręcących się ludzi.

Odgłos strzałów zlewał się z dudnieniem wozu po kamienistej drodze. Konradowe oczy coraz bardziej się przymykały. Czuł, że za chwilę zaśnie. Hubert potrząsnął ramieniem Konrada.

Hallo, chłopie, coś taki śpiący!? Zaraz będziemy mieli robotę. Nie śpij?

Uśmiechał się swemi dobrymi, zielonemi oczyma. Na twarzy, mimo znużenia, widać było pogodę i uśmiech. Skulony, zmęczony Konrad spojrział na swego przyjaciela i uśmiechnął się sennie, żałośnie.

*
* *
*

Jest czasem takie miłe, dobre popołudnie, gdy można wysunąć nogi przed przyźbę domu i pogrążyć się w niewiadomem, niczego nie łaknącem myśleniu. Ale inaczej, mocniej wyglądają te popołudnia, gdy w nogach czujesz jeszcze rytm roweru, w głowie szum krwi pulsującej, a zeszcłe wargi z trudem chłonące powietrze, domagają się za wszelką

cenę wody. Tak było z Adamem i jego chłopcami gdy po dniu wędrówki zwalili się na deskach jakiegoś niedokończonego domu. Pokładali się, zadzierając nogi wysoko, by szybko płynąca krew oswoodziła obolałe kończyny. Ciągnęli wodę z menażek długimi haustami, rozkoszując się każdą kroplą zimnego płynu.

Wreszcie Adam, obtarłszy rękawem spoconą twarz, odezwał się schrypniętym głosem.

– Po kolei składajcie sprawozdania. Przedtem przypominam: jako zastęp reporterski „Otwartych Oczu” mieliśmy zebrać materiał do ostatniego numeru przedwakacyjnego. Nie opowiadajcie specjalnie o szczegółach was dotyczących, ale o tym, coście widzieli i co skombinowaliście ze słyszanych rozmów?

Mirek podniósł rękę.

– No to gadaj!

– Pojechałem z Władkiem do lasu, ale nie takiego zwykłego. Jest stąd 80 km do Puszczy Jodłowej w Świętokrzyskich górach. Dotarliśmy tam. Droga – coś potwornego. Bajora, koleiny, kamienie i śmiecie. Jechaliśmy na zmianę, wreszcie po kilkugodzinnym prowadzeniu rowerów, złażeniu z górki i wlażeniu na górki znaleźliśmy się w lesie. Czy to las? Nie, raczej prawdziwa, piękna gęstwina pu-

szczy. Cicho, drzewa ogromne, gdzieniegdzie małe kapliczki, stare, przeważnie nad strumykami postawione i taka cisza. Władkowi wówczas zebrało się na wzruszenie i zaczął gadać urywki słów i zdań Żeromskiego. Pierwszy raz i to tam zacząłem się zastanawiać nad Żeromskim. Postanowiłem dobrze go przegryźć samemu, zebrać pewien materiał i dać do numeru. Chcę poprostu zaszcześcić w nas wszystkich ten entuzjizm, uporny, ciosany, twardy, bezkompromisowy ideał walki o.. wyda wam się to głupie i napuszone, ale to fakt: o Polskę. Ale nie tę okrzyczaną, powtarzaną słowami na zebraniach, wiecach głuptaków, i manifestacjach. Nie! Chcę, żebyśmy nie zapomnieli, że my Polskę możemy też budować. Najpierw musimy się rozejrzeć! Czytałem dużo Żeromskiego. Rozglądałem się jego oczyma po Kieleckiem. Ile roboty, rany boskie! Właśnie najważniejsze jest, byśmy zdobyli się na jasne spojrzenie na nasze braki, nędzę i niedbalstwo, i żebyśmy starali się temu zaradzić przez nastawienie ludzi, że musi być wszędzie w Polsce lepiej. Pamiętasz naszą zazdrość w Holandji, gdy oglądaliśmy urządzenia domów i pracę upartych, systematycznych Holendrów? Zazdrościliśmy im tego co posiadali, nawet spokoju.

– Musimy postawić za wzór nie tylko Holandję

ale i Śląsk. Pamiętacie, w tamtym roku, na obozie, jak gęby rozdziawialiśmy patrząc na drogi, zabudowania i gospodarstwa. To trzeba na tym poziomie właśnie stawiać resztę Polski. No, nie? Otóż w ten sposób chcę ująć w artykule wynik naszej wycieczki. Władek obiecał mi pomóc w zebraniu potrzebnych materiałów. Skończyłem.

Następny!

– No to chyba my – Bernard odezwał się z wysokiej sterty belek. Byłem z Jankiem. Mamy zamiar po skończeniu budy pójść na architekturę, więc rozumiecie, żeśmy smyknęli rowerami do jednego miasta. Co to za miasto, to chyba sami domyślające się. Pamiętam kilka lat temu, jak byłem szczeniakiem...

– O, patrzcie jaki teraz ważny! – odezwał się któryś z boku.

– Ważny, nieważny, ale więcej mam oleju w głowie, niż wtedy. Otóż dawniej to miasto było brudnym, pełnym zapachów kłębowiskiem domów, dółów kloaczych. Domy stawiane były w różnych kierunkach, śmieci zwalano nad samą rzeką. A teraz! Panowie nie macie wyobrażenia! Pewnie, że w starych, północnych skrawkach miasta jest jeszcze brzydko, brudne i smrodliwe, ale te trzy czwarte miasta.. jechaliśmy oczarowani. Pełno nowych ładnych domów, kwiaty, ogródki, mosty rzucone przez

rzekę w obramowaniu wysokich wierzb, długie bulwarty czyste, miłe położenie nad samą rzeką, o w środku miasta – kwiaty. Na oknach, słupach, chodnikach. Długie, długie smugi kwiatów. Oglądaliśmy 4 nowe dzielnice. Przywiozłem trochę zdjęć, to wybijemy w numerze. Teraz tylko trzeba smarować artykuł i gotowe.

– No, a teraz co dwaj „ludowcy“ powiedzą? – rzucił Adam.

– Dlaczego „ludowcy“? – pytał Edek.

– Nie wiesz, przecież Jurek i Zbyszek postanowili cierpieć za miliony ludu.

– Spokojnie, młodzieńcze! Cierpieć za nikogo nie chcemy. A ten lud polski, jak go nazywasz ironicznie, to już przestał nareszcie cierpieć i narzekać.

– Oho, zaczyna się referat!

– Referat, nie referat, ale możecie posłuchać? – dorzucił Zbyszek. – Szczerze mówiąc, jechałem z Jurkiem trochę z trwogą, ale przed wami musiałem nadrabiać miną. Pojechaliliśmy ot, tak, bez planu, bez mapy powłóczyć się po polskich wsiach. Chodziło nam o rozmowy z młodymi chłopakami, oświatowcami. Bałem się, że natrafimy na zupełnie innych niż spotkaliśmy. Może mieliśmy szczęście, ale spotkaliśmy ludzi rzetelnie i ideowo pracujących. Może byli twardzi, czasami zbyt ostrzy w swych po-

glądach, ale widać było, że ci ludzie myślą. Spotkałem kilku maturzystów – chłopów, którzy niedawno powrócili ze zjazdu. Na zjeździe tym omawiali zawody i kierunek studiów, wytyczone drogi, którymi oni, maturzyści-chłopi, powinni pójść, by przynieść ze siebie pożytek dla wsi.

– Skończy się na dobrych chęciach – rzucił Bernard.

– Mylisz się Bernardzie. A na potwierdzenie tego przytoczę ci fakt. Dawniej chłop, który został magistrem prawa lub filozofji wsiąkał w miasto i nawet nie chciał słyszeć o swojej wsi. A teraz coś wspaniałego! Stworzyli oni podobno przy jednym związku wiejskim sekcję techniczną. Grupują się tam wszyscy ci, którzy są zawodowcami w pewnych działach. Otóż ci ludzie wykonywują często bezpłatnie lub za grosze roboty dla wsi. I jakież to? Jedni rysują, obliczają kosztorysy budowli oświatowych, chat wiejskich, stodół i gnojówek. Inni drenują i osuszają grunty, inni, ale to jeszcze bardzo rzadko, zakładają spółdzielnie i przedsiębiorstwa hodowlane zwierząt futerkowych, a są i tacy, co jako lekarze przyjeżdżają na wieś i tu zarabiają na chleb, niosąc wsi higienę. Oto macie wszystko, cośmy z sobą przynieśli z chałup i od ludzi.

– No, to tak, – odezwał się siedzący nieruchomo

Adam. – Płon mamy bogaty, trzeba go zabrać, przyodziać ładną szatą, opryskać słowami szczerości, entuzjastycznego patrzenia na to, co się może wokół nas dzieć. Jedno małe pytanie?

– No?

– Czy to, żeście byli po dwóch, po trzech, okazało się dobre? Może mówię niewyraźnie – czy wolicie odbywali tak wszystkie wycieczki, – czy i zastępem?

– Zależy, jak, kiedy – odrzekł Zbyszek.

– Może co do tego ułożymy się w ten sposób. że na następnej zbiórce obmyślimy kalendarzyk z terminami, kiedy wycieczka zastępem a kiedy przyjacielskimi grupkami.

– Dobrze. Zgoda!

– Nic innego nie pozostało, jak zakończyć wykapkę. – Podnieście się trochę. Hallo! Panowie, co się stało z waszemi kośćcami? No nareszcie!! – gderał Adam. – Zadanie swoje spełniliśmy. Poznaliśmy ludzi i ich życie, świat budynków i świat lasu. Dobrze, że jesteśmy na prawdę „Otwartemi Oczyma”.

Na zakończenie może coś „rykniemy”! – zaproponował Władek – może „Pionierów”.

– Dobra!

*Hej, naprzód, do pracy, pionierzy,
chwytajmy łopatę i młot...*

*...na szafce potrzeba żołnierzy
i orłów potrzeba na lot...*

Pieśń w nadwieczorną ciszę wdari. się mocnymi
głosami.

TRZY LISTY

Markus przesyła pozdrowienie przyjacielowi
Hubertowi!

Chorągiew nasza urządza w tym roku ogromną
wycieczkę zastępów starszych chłopców. Swojego
czasu interesowały Cię sprawy starszych chłopców,
dlatego w ogólnym zarysie chcę Ci opisać naszą
wycieczkę. Może po namyśle dołączysz się do nas.
No, więc zaczynam.

Dnia 1 lipca zastępy wyjadą pociągiem do mia-
steczka S. Tu pod miastem rozbiją namiociki wy-
cieczkowe, wiesz, te wojskowe, co zarazem mogą słu-
żyć za peleryny. Wieczorem przy ognisku napom-
puje się wszystkich zapałem. Przedtem będzie od-
prawa wszystkich zastępowych. A 2 lipca zastępy
ruszą na wycieczkę. Cała wycieczka nosi nazwę –
„szlakiem złotego kółka”. Dlatego, że w programie
będą punkty z próby na przodownika. Miasteczko
S. leży jeszcze przed górami. Po dwóch dniach mar-
szu chłopcy już zbliżą się do gór. We wsi wyzna-
czonej według szlaku (a szlaków jest 8) po porozu-

mieniu się z organizacją „Młoda Wieś”, chłopcy przepracują 3 dni w polu jako pracownicy biedniejszych gospodarzy. Jedzenie będą gotować sami z własnych lub zakupionych artykułów spożywczych. Nie wolno zastępom brać za to pieniędzy, ani nawet wyżywienia. W ciągu tych trzech dni pracy muszą urządzić jedno ognisko dla wsi oraz dokonać wywiadu społeczno-gospodarczego. Potem ruszą dalej. Ale marsz nie odbędzie się dniem. Do miejscowości odległej o 20 km muszą dojść nocą. Będzie to również według wymagań na stopień przodownika. Wreszcie w piątym dniu wędrowki zastępy otworzą listy z instrukcją i wezmą natychmiast udział w grze wojennej polegającej na tym, że zastępy szlaków parzystych 2, 4, 6, 8, przejdą na szlaki nieparzyste. Po dokonaniu tego zadania mają deptać po piętach zastępów szlaków nieparzystych, wyprzedzać je i w miarę zwinności prześcignąć, tak by w 7 dni wędrowki dotrzeć do umówionych wsi. Stąd wyślą meldunek o wykonaniu zdania i ruszą na dalszą wędrowkę. Dalsza wędrowka będzie trwać jeszcze 4 dni. Możliwym jest wówczas używanie środków lokomocji oprócz kolei i autobusów. Mogą robić przez ten czas, co chcą. Jedynie wskazane jest urządzenie ogniska w jakiejś wsi. Po tych czterech dniach, a w 12-tym dniu wędrowki muszą dotrzeć do wsi T.

Tu, na dużej równinie stanie znowu obóz wszystkich zastępów. Każdy zastęp będzie sam gotował, odpoczywał i lizał się z ran i odparzeń. W tych trzech dniach odbędą się pokazy i ogniska całości, oraz odprawa zastępowych, na której poda się hasła na przyszły rok. Wszystkie zastępy będą nastawione na jaknajwiększe życie się. Dlatego będziemy kładli nacisk na herbatki zastępów i wspólne imprezy. W czasie całej wędrowki będą mieli zastępowi książeczki wędrowki, w których zaznaczać będą wykonane prace. Jedynie podpis zastępowego będzie dla Komendy sprawdzianem pracy zastępu. Tak, że tu będzie się jedynie polegać na honorze wodzów naszych zastępów. Na ostatnim ognisku rozda się zastępom dyplomy udziału w marszu na szlaku „za złotem kółkiem” oraz oznakę w kształcie kółka z literką chorągwi. O ile zgadzałbyś się wziąć udział ze swoimi w tej imprezie, to pisz jak najprędzej. Chyba się, zgadzasz, co Hubercie?

Twój Marek.

*

*

*

Drogi Stefku!

Jest godzina pół do szóstej rano. Leżę na beczcze i konam ze złości. Ja go zabiję! Nie pozwolę się maltretować. Co on sobie myśli, jak on mnie trak-

tuje? Zdeptał we mnie cały honor ludzki... Kto? -
spytasz?

Ten – osioł!

Nie próbuj się domyślać. To żaden z naszych kolegów, żaden z wodzów, wogóle nie epitet a zwierz.

Jesteśmy w jego niewoli. Jak wiesz, nasz obóz jest roboczy. Grupa rodziców harcerzy z Pawłowa otworzyła tu spółkowo zespół pensjonatów dla letników z Łodzi, a my spełniamy, wzamian za utrzymanie, funkcje pomocnicze. Raniutko rozprowadzamy do domków mleko, jarzyny, prowadzimy rachunkowość, dostarczamy beczkowitzem wodę, bo tu ze studniami krucho.

Właśnie ta woda. To przez nią on ma nad nami taką władzę, bo on ciągnie beczkę. Tak się to łatwo mówi: ciągnąć, ale spróbuj to wykonać z osłem...

Dajmy na to, że wypchałeś go ze stajni, rozplątałeś uprząż, w którą ze zrećnością prestidigitatora zaplątuje się w tej samej sekundzie, gdy się do niego zbliżasz ze szlejami i lejcami. Dajmy nawet na to, że go już zaprzągłeś, że przy tym nie wyzarł ci z kieszeni chustki do nosa, które lubi pasjami.

Wyobraźmy sobie nawet – choć to „przesadyzm” – że jakimś cudem przy pompowaniu wody ten genjusz złośliwości nie posuwa się systematycz-

nie o krok wprzód za każdym razem, gdy tobie miotającemu się w skurczach przy pompie, udaje się wywołać strumień wody, który wtedy oczywiście zbryzguje wierzch beczki. Dajmy na to...

Ale wtedy – ruszyć naprzód, przejechać właściwą drogę i zatrzymać się przed właściwym domem! O bogowie.. to trzeba zrobić kilkanaście razy. Ani razu nie wystarczy prośba „wio”, „pr”, czy namowa biczyska. Nie byłby osłem.

Trzeba zaprzeć się obiema nogami przede łbem i ciągnąć go na siebie. Ale zaleca się uwagę, bo zwierz ma dwojaką taktykę. Albo ze zdolnością salonowej histeryczki „załamuje się psychicznie” – i wtedy przepadłeś. Podwija nogi, kładzie się na drodze i bez dodatkowej pomocy nie podniesiesz go. Bić nie pomaga: trzeba go dźwignąć na drągach i postawić na nogi. To mu sprawia szaloną rozkosz: od tej chwili staje się jak baranek. Albo stosuje inny system, ten właśnie, co dziś. Gdy tak zapierasz się przed nim, cały podany do tyłu, on – rusza z kopyta! Chwytasz się grzywy, szlei, dyszla, bo cię rozjedzie, ta rzymska kwadryga. Potem kozackim procederem wydobądź się spod brzucha bydłaka i uwieszony u jego szyi, ryj obcasami ziemię, aby jakoś rozszalałego Rossynanta zahamować. Stanie o kilkanaście kroków zadaleko i będziesz musiał do-

nosić wodę kubelkiem, jeśli jej jeszcze coś pozosta-
nie w beczce po szalonej jeździe. I potem znów za-
jadła walka o każdą piędź ziemi.

Oto dzieje tryumfu osła nad człowiekiem.

Posyłam ci to „zdjęcie na migawkę”, popelnione
dziś rano, a teraz, korzystając z czasu wolnego, o-
pisuję o naszym życiu.

Klawo jest, choć roboty dużo. Oprócz tych czyn-
ności rannych utrzymujemy jeszcze przewóz letni-
ków przez rzekę i dozór na plaży przy kąpieli. Nasi
„zawodowi pływacy” spalili się na słońcu na bronz,
ale też narzekają na ból oczu od nieustannego ob-
serwowania mieniącej się w słońcu powierzchni wo-
dy. Michał wdycha do sloty, czy możesz sobie coś
podobnego wyobrazić?

Oprócz tego prowadzimy rachunkowość letniska.
To Stach i Zygmunt. Współpraca „czwórki” z „ó-
semką” układa się doskonale. Nie ma żadnych
zgrzytów. – Wszyscy w jednakich mundurach i przy
jednej pracy. Myślę tak sobie: czy też ta współ-
praca i przyjaźń utrzyma się na stałe? Ano, zoba-
czymy. Zamiar po obu stronach jest.

Trochę mało czasu na ćwiczenia harcerskie. Stach
opracował plan samotnych „łazeg po puszczy” i od-
bywa z nami srogie „próby wodzowskie”. Podpatrzy-
łem go, korzysta z książki Ungeheuera „Próby wo-

dzów”. Każda próba jest innego rodzaju – na spryt,
na odwagę, na umiejętność wnioskowania, na wy-
trwałość. Po próbie jest obrzęd. Każdy z nas ma
swoją pal. Gdy którą próbę odbędzie dobrze, wie-
czorem wypala się na totemie znak danej próby.
Ja mam już znak sprytu i znak odwagi. A przetrzą-
łem próbę wytrwałości. Już widzę twoją głupią mi-
nę, jak się uśmiechasz złośliwie z tego powodu. I
wiesz, przyznam ci się, że przez takie próby, czło-
wiek zbiera się w garść. To jest dobre.

Dużo obiecujemy sobie po wędrownie poobozo-
wej. Będzie 6 dni w zespołach, jak kto chce, i trasa
jak kto chce. Tylko ma być conajmniej 150 klm.
I każdy zespół ma coś przynieść jako łup z wędrow-
ki: 10 rzeczy do rzeczy, 10 rzeczy od rzeczy – jak
mówi Stach. To znaczy – dziesięć zdobyczy poważ-
nych, wywiadów gospodarczych, społecznych czy
krajoznawczych albo przysług, oraz dziesięć do-
brych kawałów, przygód albo awantur. Ja idę z Ro-
manem i Mietkiem, bo w tym samym zespole odby-
liśmy nasze dni pracy na wsi i dobrze nam było.

Ach, prawda, nie pisałem ci jeszcze o tej pracy
na roli. Przeszły nam łatwiej niż spodziewaliśmy się,
a raczej i trudniej i łatwiej. Trudniej, bo to cięż-
ka robota, ani kiedykolwiek przypuszczałem; najgo-
rzej pierwszego dnia, potem coraz człowiek się przy-

zwyczają. Ale zato niespodzianką dla nas było, że tak łatwo zaprzyjaźniliśmy się z tymi gospodarzami, u których pracowaliśmy. Ponieważ to w tej samej wsi, gdzie nasz obóz, więc już poznaliśmy ich w czasie ognisk, zapoznaliśmy z naszymi zasadami pracy, więc potem naszą pomoc przyjęli bez nieufności. Jaki to ciekawy człowiek, nasz gospodarz! Mówi rzeczy, których się u nas nie słyszy w mieście; z początku wydaje się to dziwne, a potem widać, że on ma rację. Gdy tak z nimi popracować razem, to się patrzy na świat temi samymi oczyma co on. Myślę, że do tej naszej wystawy „pracy człowieka” musimy włączyć pracę na roli.

I już kończę pisanie, bo i tak się rozpisalem. Pisz teraz ty, ciekaw jestem spraw ogródka dziecięcego. Wyjechaliśmy tak ze środka roboty. Opisz, co i jak!

Pozdrawiam cię. Dołącza się Stach. Czuwaj!

Tarzan.

*

*

*

Kochany Tarzanie!

Pytałeś się mnie, co słyhać w mieście. Wy sobie tam pewnie pracujecie w słońcu, czystym powietrzu letnim – a mimo to nie mam Ci czego zazdrościć. Już nareszcie osiągnęliśmy cel! tyle mie-

sięcy męki, niepokoju – byliśmy bliscy kłęski i oto teraz przedwczoraj nastąpiło otwarcie ogródka dla dzieci koło Małpiego Gaju. Nie chodzi mi o te uroczystości, przemówienia, peany chwały. Patrzyłem z radością na dzieciaki. Kiedy starsi stawali nad każdym przyrządem, oglądali i podziwiali – podniósł się gwar przeogromny. Wszystkie mały szkraby powłaziły na drabinki, huśtawki i tory zjazdowe. W tym momencie dopiero odczułem radość. Widok twarzy roześmianych dzieciaków, ich frajda – to wszystko razem sprawiło, że po sercu rozlała się we mnie radość ogromna. Już mi w oczach nie stoi ten chłopczyk, konający w szpitalu, już dzieciaki mają swe „podwórko”, swe miejsce zabaw. Mały brzdąc wpadł na mnie z impetem, goniąc za kółkiem; miał takie same oczki jak tamten – ze szpi-tala. Mało co nie wycalowałem zdumionego szkraba. To nie wszystko. Okazało się, że harcerki teraz przyszły nam z pomocą. Oto zajęły się dzieciakami, one właściwie bawią się z dziećmi. Poprostu jest to półkolonja. A my... Nas, kilku „miastowiczów” pomaga przy kuchni, z której wydaje się dzieciom obiady i podwieczorek, pilnujemy, by nikt nie krzywdził szkrabów i by się one nie pobiły. Powiedz Hubertowi, że wreszcie dopięliśmy swego celu. Nie wiem, kiedy zobaczysz go, ale ma na końcu wędrów-

ki przydreptać do Was. Okazuje się, żeśmy mogli
zwycięzać. Teraz – jak ja się czuje, jak się cieszę
nie wyobrażasz sobie, Muszę kończyć – wołają na
podwieczorek i dzieciaki biegną do kuchni.

Tymczasem żegnam Cię

C z u w a j !

S t e f a n

I ZNOWU WRZESIENI!

We wrześniowym powietrzu jest czasem upaja-
jący zapach, a w żyłach ciała ludzkiego czuje się
jakąś wspaniałą moc. Coś rozsadza od wnętrza, mo-
cą niezmożoną przenika uśmiech ludzki. Babie lato
długimi smugami opasuje kapelusze i twarze. Z
drzew sypkie liście naskakują na trawę, chodniki
i ludzi. Czas jest piękny, jak jabłka rozczzerwione,
pachnące. I tak nad zachodem słońca dobrze iść
przyjacielskim zespolem w las, w białe pasy szosy.
Szedł Stach Rokicki, Hubert Szott, Adam Cien-
koszyja, Konrad i Tarzan. Pogwizdywali cicho pod
nosem, a z twarzy opalonych uśmiech jeszcze się nie
zrywał przez długie chwile. Ciszę przerwał Stach,
częstując wszystkich czekoladą, której zapasowa tab-
liczka wyglądała mu z kieszeni.

– No, co, może usiądziemy tutaj?

Hubert spojrział krytycznie na ziemię, na mostek,
potem cykając śliną nabok, usiadł na mostku, zwie-
sił nogi nad wodą i zadumał się. Chłopcy kończyli
czekoladę i sadowili się wygodnie.

To może już zaczniemy roczny rachunek sumienia, co? – zapytał Tarzan.

– Ano – tak – westchnął wyrwany z marzeń Hubert – właśnie myślałem o tym roku, co idzie, a wracać trzeba do tego, co było. Ciekawe są te okresy rzutowania w przyszłość i wracania do tego, co było.

– Bo z tego, co było, bierzemy przykład i świadomość własnej siły i słabości.

Konrad obrócił się od wody do towarzyszy i powiedział:

– Pamiętacie, jak prezes K.P.H. mówił, że my, właśnie my tworzymy historję naszego środkowiska. Wydawało mi się, że to zwykły oklepany komunał. Teraz widzę, że staruszek miał rację. Stworzyliśmy historję jednego roku. Dawniej, czytając historję drużyny sądziliśmy naszych poprzedników za okresy nieróbstwa. Sądy nasze były straszliwie surowe. A teraz...

– Teraz – tak samo sądziłbym ich, jak i nas – odezwał się Hubert. Nikt nie może i nie ma prawa wymigać się od zdania rachunku z tego, co robił. No, więc jazda – rozpoczynajmy sąd.

– Podejmę się – odezwał się Adam – być prokuratorem. Więc oskarżam drużynowego. Najcięższym zarzutem będzie to, że nie znał osobiście

wszystkich chłopców. On obok zastępowego powinien opiekować się chłopcami i pomagać im.

– Głupi jesteś, Adam – Tarzan nie wytrzymał – chyba nie znasz sprawy Władka, zastępowego drużyny, że mówisz w ten sposób. Hubert wykazał, że orientuje się w sprawach chłopców bardzo dobrze. Jestem mu wdzięczny za to, że pomógł mi przy kilku sprawach chłopców mojego zastępu.

– Daj spokój, Tarzan, odezwał się Hubert – no, gadaj dalej!

Więc drugą sprawą jest sprawa braku współpracy z harcerkami. Mogliśmy z nimi urządzić kilka wypraw i wycieczek wspólnych, a tymczasem....

E, co tam baby! – mruknął Tarzan

No, nie bądź takim wrogiem w stosunku do niewiast – powiedział Hubert. Ma rację pod tym względem Adam. Ale liczyłem na to, że w przyszłym roku przeprowadzimy współpracę. Tymczasem chciałem nas samych zgrać. Co się tyczy moich wiadomości o chłopcach, otóż sprawa przedstawia się tak: – Miałem notes, który teraz z sobą przywiozłem.

Notowałem w tym czarnym zeszycie wszystko, co spostrzegłem, o którym bądź z nas. Dobrze, że było tylko dwudziestu ośmiu. Większej ilości już nie

mógłbym objąć. Te notatki o postępowaniu naszych chłopców dały mi materiał, na podstawie którego mogę powiedzieć, kto się nadaje w przyszłym roku na zastępowego, a kto na członka współdziałającego swojego zastępu.

Siedzący dotychczas spokojnie Stach spytał: – Czy macie jakie jeszcze zarzuty względem tegorocznej pracy?

Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Raczej nie, mruknął Konrad.

– Co, nawet i ty nie, Adam?

– Nie, nic nie mogę powiedzieć, bo było lepiej, niż się spodziewałem.

– Lepiej niech Hubert powie o planach przyszłego roku.

– Ja wolę nie mówić – wykreślcie wy sami plan pracy. Ja dołączę z moimi projektami.

– No, to nas zaskoczyłeś – zawołał Tarzan, bo ja zostawiłem wszystkie projekty w domu. Ale to dobrze, Hubert, że tak chcesz. Mnie się pali wszystko, masę mam projektów, a tak dotychczas hamowałeś mię mimowoli swemi projektami. Teraz, to co innego!

– Ja proponuję spotkanie za dwa dni – dodał Adam. – Ułożymy projekt prac i kalendarzyk za-

jęć. Potem przedstawimy ci, Hubert, nasze projekty i uzgodnimy to wszystko.

– Dobrze, że wykruszyliście się z okresu niemowłectwa. Nareszcie będziecie sami prawdziwymi twórcami pracy. Nie możemy tylko zapominać o jednym. Praca czy zabawa nasza musi być zawsze mocna, bardzo entuzjastyczna i trwała. Wciąż wprzód, nigdy w miejscu. Nigdy w spokoju, bo to nasza śmierć, nasze gnicie. Ciągłe w ruchu, w nowej pracy, w nowych zajęciach.

– A jeżeli wykruszą nam się ludzie, będą chcieli odpocząć, albo odejść? – spytał Stach, mrużąc swym zwyczajem oko.

– To będziemy ich zbierać, by nikt z nas, starych, nie wykruszył się, nie odpadł. Tym samym zespołem będziemy szli – odezwał się Adam.

– Nie, Adasiu, mylisz się.

Adam spojrział na Huberta ze zdziwieniem. – Przecież sam kiedyś tak mówiłeś?

Owszem, mówiłem. – Ale dużo zmieniło się od tego czasu. Ciągłe trzymać jednych ludzi to nie sposób. Trzeba dobierać nowych. Muszą być wciąż świeże soki żywiczne, które utrzymują jakąś ideę przy życiu, więc koniecznym jest dobieranie ludzi. Jedno jest w tem niebezpieczeństwo. Ludzie potra-

fią wspaniale wykrzywiać ideę, przerabiać na swoje kopyto. To jest niebezpieczne. Ale wierzę, że jeżeli wychowamy ich w blasku naprawdę pięknych i szczerych ideałów, to rozwój idei może pójść nam na dobre.

Tak – Hub – niebezpieczeństwo to istnieje wszędzie! dorzucił Stach.

Istnieje wszędzie – ale my wierzymy że w tym roku tak samo dalej pojedziemy w piękną podróż naszych myśli i marzeń. Znowu ławą ruszymy i na drogi i na zabawę i pracę. Hej! Hej! znów zrobimy ruch! Bez szumu i hałasu a jednak buńczucznie i młodzieńczo.

– E! pójdziemy! – Adama aż zatknęło.

– Masz rację, Cieńkoszyja. Pójdziemy i zrobimy ruch. Pomożemy innym, pomożemy w nauce i w życiu; zbudujemy samych siebie. I powiemy sobie w końcu tego nowego roku, że zakasane po łokcie rękawy nie były tylko dla wygody, a były symbolem naszej pracy i tego co dokonano. Chcemy pracować dobrze jeszcze rok, tylko rok, potem może już nas nie będzie, więc tym drugim rokiem dalej pójdziemy, wdrzemy się w gęszcze wielu spraw, trosk. I będzie radośnie i smutnie, będzie dobrze – dorzucił Tarzan.

Niebo się zaczerwieniło a w pojedynczych drze-

wach ćwierkały ptaki, daleko sunął turkocący wóz, w dali wiły się dymy z chałup. Na niebo wypłynął bardzo bladziutki księżyc, kompan ich przygód i wypraw.



~~85575~~ 91926

S P I S R Z E C Z Y:

| | | str. |
|------|---|------|
| I | Siła i lotność | 7 |
| II | Narodziny ruchu, narodziny wodza narodziny programu | 25 |
| III | Z przygody na przygodę | 49 |
| IV | Ruszają tryby maszyny | 65 |
| V | Naprzód do pracy, pionierzy, chwytaj- my łopatę i młot | 85 |
| VI | Białe szaleństwo | 107 |
| VII | Jasna i ciemna dziewczyna | 117 |
| VIII | W harcerskim kole jak w orłowym locie | 131 |
| IX | W bój nas powiodą zwycięstwo i młodość | 155 |
| X | Żołnierska wioska i oczy szeroko otwarte | 181 |
| XI | Trzy listy | 195 |
| XII | I znowu wrzesień | 205 |

ARKADY FIEDLER

Ryby śpiewają w Ukajali

„Ryby śpiewają w Ukajali” – to wśród książek podróżniczych jedna z najpiękniejszych i najosobliwszych. Arkady Fiedler, mieszkaniec spokojnego Poznania, co parę lat wyrusza na daleką, długą i romantyczną wyprawę. Z podróży tych przywozi najpiękniejsze i najosobliwsze okazy zwierząt, ptaków i owadów, – i najbarwniejsze wspomnienia. Zarówno wtedy, kiedy wspomnienia te dotyczą wszelkich stworzeń amerykańskich, które Fiedler zna na wskroś i opisuje w sposób czarujący, jak i wtedy, kiedy dotyczą napotkanych ludzi i spraw, – każda jego opowieść jest małym arcydziełem stylu, obserwacji, wdzięku i plastyki. Czy to będzie opowieść o tapirze, czy o pająkach niezmordowanie snujących swe sieci, czy o straszliwych pochodach mrówek, czy iście conradowska opowieść o właścicielu statku na Amazonce, czy pełna humoru – o przyczynie wojny boliwijsko - paragwajskiej, zawsze potrafi Fiedler znaleźć dla niej odpowiedni ton, opowiedzieć ją w sposób prosty, pozornie zwyczajny – a przecież nadać jej wszelkie cechy artystycznej pełni i wyposażyć ją w tyle wdzięku i czaru, że starczyłoby go na całą powieść.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

P O D R Ó Ż P O P O L S C E

cena zł. 6.—

Książka K. Pruszyńskiego jest zbiorem reportaży zebranych w ciągu ostatniego roku w najrozmaitszych punktach Polski. Z nieomylnym wyczuciem aktualności potrafi Pruszyński znaleźć się wszędzie tam, gdzie istotnie gnieźdzą się węzły zagadnień nurtujących współczesną Polskę. Pruszyński jest obserwatorem, który przybywa na stanowisko bez żadnego bagażu prócz chwytanego pióra i znakomitej bystrości w ujmowaniu zjawisk od ich głębi.

skiego, dzięki swej wszechstronności i odwadze jest prawdziwym i pełnym obrazem tych prądów, jakie złożą sobie łożyska w umysłach Polski dzisiejszej. To też książka przetrasta ramy zwykłego reportażu, to nie tylko opis, na którego podstawie budować można dowolne syntezy, lecz synteza sama, — synteza polskiej rzeczywistości.

P A L E S T Y N A P O R A Z T R Z E C I

cena zł. 6.—

...Oczywiście młodego Polaka patrzył Ksawery Pruszyński na przełamywanie się psychiki żydowskiej w obliczu Ziemi Odzyskanej. Obraz jaki się z tego reportażu wyłania jest obrazem mocnym. Ma w sobie szeroki rozmach stepów ukraińskich przemierzony na syzyfowe prace pionierów z Emek Jezrael. Pokazuje czym może być socjalizm, gdy się go buduje nie na gruzach zmiążdżonego uczucia narodowego, ale biorąc to uczucie za podwalinę całej budowy. Pokazuje, czym może się stać najbardziej skarłały tułaczka naród, gdy mu się pozwoli odzyskiwać własną ojczyznę.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

DZIS NAJGŁOSNIEJSZY PODRÓZNIK POLSKI

ARKADY FIEDLER

LAUREAT NAGRODY MIASTA POZNANIA 1936 ROKU
ROK TEMU NIEZNANY WĘDROWIEC—

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

Cena brosz. zł. 7. — opr. 9.—

Ta szczególna organizacja artystyczna, która tyle przysporzyła rozgłosu poprzednim książkom Fiedlera: „Ryby śpiewają w Ukajali” i „Zwierzęta z lasu dziewiczego” — panuje również i nad jego nową książką o Kanadzie. Czy to będą opisy dotyczące dawnych dziejów Kanady, sięgające czasów pierwszych wypraw zdobywczych, czy obrazy z życia dzisiejszej kanadyjskiej puszczy — zawsze uderzać w nich będzie obok ścisłości — właśnie artystyczna wartość obserwacji. Każda z tych luźno rzuconych scen ma swą pełną, żywą i barwną literacką wymowę. Postacie ludzkie — postacie dawnych zdobywców, nieśczęsnych tubylców tępiących przez „cywilizację białych ludzi”, postacie dzisiejszych mieszkańców Kanady, — osadników polskich, łowców, plantatorów — to portrety o znakomitej plastyce i wyrazistości; a tak samo plastyczne, żywe i pełne wymowy są opisy Fiedlera, jego wyprawy łowieckie, podpatrywanie życia tej wspaniałej przyrody i jej mieszkańców.

Książka Arkadego Fiedlera żyje; każdy odgłos podchwycony przez Fiedlera, zew miłosny leśnego zwierza, czy śpiew małego ptaszka — nie tylko słyszymy i czujemy, lecz rozumiemy jego głęboką treść. Życie tej puszczy nieznannej i dalekiej staje się dla nas bliskie i zrozumiałe; czujemy, jak ogarnia nas i obejmuje urok i czar tego życia, bijący w nas z każdej karty książki.

„Kanada pachnąca żywicą”... Tak, ta książka pachnie naprawdę świeżą, ciepłą żywicą kanadyjskich lasów.

TOW. WYD. „RÓJ”, WARSZAWA, KREDYTOWA 1

ANTONI DĘBCZYŃSKI

HASZYSZ CZARNEGO ŁĄDU

Cena zł. 7.—

Szerokie zainteresowanie, jakim zawsze cieszyła się w Polsce powieść egzotyczna, niemal w całości zaspokajane było dotychczas wyłącznie literaturą przekładową. Polska dopiero od niedawna wypływać zaczęła na dalekie szlaki wodne; jednym z plonów tego zjawiska są narodziny prawdziwej polskiej powieści egzotycznej.

Świat, w którym porusza się i obraca bohater powieści A. Dębczyńskiego, jest przede wszystkim światem prawdziwym. Postacie i życie dalekich faktorii belgijskiego Konga oddane są w tej powieści z niewątpliwą znajomością terenu, bez cienia owego fałszywego egzotyizmu, który tak często towarzyszy powieściom pisanim przy biurku. Ze znakomitą subtelnością i wnikliwością potraktowane zostały postacie tubylców, świetnie zarysowana postać głównego bohatera — polskiego kolonisty, mocno postawione figury emisariuszy eksploatacyjnych kompanii. A nad wszystkim tym unosi się duszny, tropikalny opar, — haszysz Czarnego Łądu, — któremu poddać się musimy tak samo, jak poddaje mu się w końcu Andrzej Ligota, bohater powieści.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

POŁA GOJAWICZYŃSKA RAJSKA JABŁOŃ

II tomy cena zł. 16.—

Świetnie opracowana i bardzo głęboka książka odbiega daleko pod względem „dojrzałości pisarskiej“ nawet od „Dziewcząt z Nowolipek“, których jest kontynuacją. Nowe śmiałe poglądy na temat ustosunkowania człowieka do życia, oryginalna kompozycja, plastyczny i żywy styl tworzą z „Rajskiej Jabłoni“ utwór nieprzeciętny, stanowiący poważną pozycję w naszej współczesnej beletrystyce.

Jutro Pracy.

Trzeba przyznać, że nie wielu tak jak ona umie patrzeć na życie, bo nie wielu tak jak ona posiada dar „wewnętrznego wzroku“... Nie wielu też tak jak ona umie słuchać i słyszeć głosy życia, patrzeć i widzieć jego drgania, blaski i cienie, wczuć się i wyczuć jego duszę, jego rytm i jego puls. Ale głębiej i może lepiej jeszcze aniżeli samo życie umie Gojawiczyńska widzieć i rozumieć człowieka, podchwycić tony i półtony, dźwięczące całkiem cichutko nieraz w jego sercu i wycienić w najsubtelniejszych światłocieniach jego nastroje wewnętrzne. I jak pięknie umie opowiadać o jego walkach wewnętrznych, o jego cierpieniach i radościach, o miłości i zawodach, nienasyconych tęsknotach i druzgoczących rozczarowaniach. Bez patosu, z prostotą, szczerze płynie jej opowieść — i może dlatego właśnie jest tak wspaniała, wzruszająca i sugestywna, poetka i niezapomniana.

C. Słapakowa.

Wszystkie dobre znajome z „Dziewcząt“ żyją w tej książce dalej, a przede wszystkim dalej — kochają. „Rajska Jabłoń“ jest książką o miłości, złej i dobrej, zdobywczej i uległej miłości. Dziwna to książka, czarowna i pełna powabu. Nie łatwo jest otrząsnąć się z jej czaru, kiedy się ją raz wzięło do ręki... Najlepsza, — wręcz wspaniała, — jest w „Rajskiej Jabłoni“ mocna, twarda Kwiryna... Po przez postać tej Kwiryny mówi znajomość życia Gojawiczyńskiej, jej sztuka obserwacji, dostrzegania, jej dar widzenia bardzo trzeźwo, bardzo nielitośnie, z dużą dozą goryczy i ironii.

A. Chor., Kurier Polski

poprzednio wydano tejsze autorki:

| | | |
|----------------------------|-----|------|
| POWSZEDNI DZIEŃ (wyd. II) | zł. | 5.— |
| ZIEMIA ELŻBIETY (wyd. III) | „ | 3.— |
| DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPEK | | |
| (wyd. II) 2 tomy | „ | 14.— |
| GÓRNOŚLĄZACZKA | „ | 1.— |

ARKADY FIEDLER

Z WIERZĘTA Z LASU DZIEWICZEGO

Pisarzy, badających świat zwierząt, interesują zazwyczaj ich ludzkie cechy; doszukują się oni wśród stworzeń niższych załączków tych uczuć i instynktów, jakie znajdują u ludzi, czasem nawet dostrzegając je w bardziej rozwiniętej niż u ludzi postaci. Takie są zwierzęta Londona, takie są mrówki Ewersa. Badacza instynktu społecznego mrówek nie obchodzi motyl chociażby najpiękniejszy, ani najcudniejszy ze wszystkich ptaków, drobnutkie kolibry. Inaczej podchodzi do zwierząt Fiedler: nie idealizuje ich, nie czyni ich podobnymi do ludzi, nie analizuje ich „psychiki” — lecz przede wszystkim kocha je i podziwia ich piękno. A piękna tego szuka nie tylko w barwie i kształcie zewnętrznym, potrafi je dostrzec w drapieżności pająka, w figlach małej małpki, w obyczajach ptaków i owadów, w prawie silniejszego, które rządzi puszczą, i w zręczności słabych, broniących się przed drapieżcami.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

INŻ. CZ. J. CENTKIEWICZ

WYSPA MGIEŁ I WICHROW

CENA ŻŁ. 4.—

Kierownik Ekspedycji Narodowej, Roku Polarnej 1932/33 wrażenia swe z pobytu na Wyspie Niedźwiedziej, na Oceanie Lodowatym, opisał w książce p. t. „Wyspa mgieł i wichrów”.

Czyta się ją jak najbarwniejszą, najsensacyjniejszą powieść. Groza nocy polarnej, oświetlonej tylko niesamowitym blaskiem zorzy polarnej, wspaniałość zimy podbiegunowej — są tłem dla przygód dzielnej trójki, zawsze pełnej humoru, werwy pełnej nowych pomysłów i zawsze cało z najcięższych niebezpieczeństw wychodzącej.

Książka jest bogato ilustrowana niezwykle ciekawymi zdjęciami, które pokazują jak na dłoni ich życie i przygody.

Tegoż autora ukazały się w Bibl. Histor.-Geograficznej w cyklach: „Zdobywcy i odkrywcy świata”. „CZELUSKIN” i „LOTY NAD SNIEGAMI”

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

GUSTAW MORCINEK

INŻYNIER SZERUDA

cena zł. 7.—

„Inżynier Szeruda“ nie jest powieścią regionalną. Jej akcja może dziać się wszędzie; nie tylko w Polsce lecz i poza Polską. Porusza ogólnoludzkie zagadnienie poczucia krzywdy, pragnienia zemsty i zdolności przebaczenia zła. Przedstawia człowieka cierpiącego na kompleks małej wartości, Jego usiłowania zdobycia jakiegokolwiek rekompensaty, utrzymanie się na powierzchni życia, jego załamania i wzloty, walkę między poczuciem obowiązku a pragnieniem zemsty, rozpaczliwe szukanie wyjścia z matni a jasne odkrycie, że koło nas są ci „po prostu ludzie“, których szukamy.

Główna akcja dzieje się w obrębie dwunastu dni. W pierwszych sześciu dniach — to walka z pożarem w kopalni i walka człowieka z poczuciem swojej małej wartości. W następnych sześciu dniach — to walka o życie zasypanej załogi w kopalni, jej nieludzki wysiłek, by się nie załamać i wytrwać do ostatka w obliczu nadciągającej śmierci, a z drugiej strony zaś walka tych „po prostu ludzi“ z załogi ratunkowej, by swych towarzyszy wyratować, i rozpaczliwe łamanie się człowieka z poczuciem własnej klęski i bezsilności.

Książka ta pragnie wskrzesić w człowieku wiarę w człowieka i w jego wartości ludzkie.

Tegóż autora: WYRĄBANY CHODNIK (2 t.) zł. 16.—
GOŁĘBIE NA DACHU (II wyd.) „ 5.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ROJ“

HALINA GÓRSKA

NAD CZARNĄ WODĄ

Cena zł. 3.—

Powieść ta opisuje powstanie i dzieje pewnego bardzo dziwnego „klubu“ — klubu dzieci z warszawskiego Powiśla. Jakkolwiek pisana przez osobę dorosłą i w innych kształtowaną warunkach, — uderza ona przede wszystkim szczerym i prostym stosunkiem do swych dzieci i zupełnym zespoleniem się z nimi. Niema w niej nic z fałszywego sentymentu do dzieci; wydaje się, że kronikę tego klubu tworzyli i pisali wszyscy jego członkowie. A kronika to bogata i szczególnie interesująca; dla młodego czytelnika znajdzie się w niej wiele zabawnych lub pełnych emocji perypetyj — dla dojrzałego zaś wychowawcy, ojca czy nauczyciela, — wiele przemyślanego materiału z dziedziny zagadnień wychowania.

DRUGA BRAMA

Cena zł. 4.—

„Druga brama“ — to historia przyjaźni dwóch dziewczynek: Krysi, dziecka inteligentnego obdarzonego fantazją twórczą i dziewczynki z ludu, Adeli, trzeźwej i dojrzałej, niosącej otwarcie, bez złudzeń ciężar swego twardego życia.

Książka ta w swoim rodzaju jedyna: młody czytelnik znajdzie w niej piękną i ciekawą opowieść, nie rzadko okraszoną humorem, czasem owianą mgłą smutku; człowiek dojrzały odkryje w tej książce bogactwo obserwacji psychologicznych.